№ 45. Warszawa, dnia 29 Października (10 Listopada) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. –Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej

Szanowna Pani!

W skromnej pracy którą Ci się ośmielam poświęcić, znajdziesz zapewne brak niejednej zalety, ale nie odmówisz głównej, *prawdy*, pożądanej zawsze a szczególniej w obrazach lud przedstawiających.

Kiedym raz pierwszy wystąpił z *Obrazkami wiejskiemi*, przyznano ją a nawet posądzono o zbytnią cokolwiek realność. Nie unikałem jej rozmyślnie, aby przedmiot tak ważny w nowem zupełnie przedstawiony świetle, nie zasłużył na zarzut przesadzonego idealizmu. Tej samej zasady trzymałem się i przy kreśleniu *Obrazków Warszawskich*, ale w trzydziestoletnim peryodzie przedzielającym jedną pracę od drugiej, zmieniły się czasy, ludzie i pojęcia: realność zapanowała aż do pogardy poetycznego natchnienia i wszystkim z niego płynącym następstwom. W tym szale, nie wątpię że przemijającym, w ludzie zarówno wiejskim jak miejskim, brzydoty i zboczeń moralnych, szyderstwu z niego aż do przesady posuniętemu, ośmieszaniu prostoty, brutalstwu a nawet waryantom na ten temat tworzonym dalekim od wszelkiej rzeczywistości, przyklaśnięto z zadowoleniem, nazwano realnością czyli prawdą, a przedstawianie tej rojnej gromady jako ludzi z sercem zdolnem do wszelkich wzruszeń, z duszą nie pozbawioną rozwagi i zastanowienia, obrzucono zarzutem idealizmu, czyli zmyślenia, wypływu przestarzałej metody, echem przeszłości dochodzącej do chwili dzisiejszej.

Taki sąd spotkał cząstkę pracy mojej obecnej przedstawionej w odczycie publicznym na rzecz Czytelni bezpłatnych przez Towarzystwo Dobroczynności utrzymywanych. O ile jest błędną zasada na której się oparł, osądzisz Szanowna Pani, o ile zaś mnie zasmuciło niesprawiedliwością, domyślisz się bez wątpienia, jako dość oswojona z podobnego rodzaju zawodami.

Serce ludu i jego dusza jest otwartą księgą, w którą każdy wczytywać się może byle się do niej zbliżył z miłością i z głębokiem poczuciem braterstwa. Wczytywaliśmy się w nią nieraz wspólnie, podziwialiśmy niezrównaną piękność pieśni, prostotę rymowanego słowa, wzniosłość myśli zamkniętej w zwyczajach podaniach i legendach.

Zalet tych realiści dzisiejsi nie zaprzeczają, ale rzecz dziwna, twórcom tych piękności odmawiają niemal człowieczeństwa. Sąd to błędny a nawet niekonsekwentny, głównym jego powodem nie zła wola ale trudność poznania człowieka cóż dopiero ludu w całej jego zbiorowości.

Badacz jak górnik w łono ziemi, musi tu wgrzebywać się w głębiny serca ludzkiego, śledzić, podpatrywać, podsłuchiwać, zbierać szczypta po szczypcie objawy uczuć zmieszanych z porywami namiętności nie ułagodzonych wpływem cywilizacyi, i szukać człowieka wszędzie, jako istoty złożonej z dobrego i złego, nie będącej aniołem ale i na nazwę szatana nie zasługującej. W pracy tak prowadzonej lud odsłania się w całej swej prawdzie, przedstawiając jakby zaczarowany świat w niedojrzanych przepaściach ukryty, w którym wszystkie uczucia, poetyczne zachwyty, miłość. tkliwe wzruszenia serca, zapał, poświęcenie, namiętności, a nawet filozoficzne na świat i jego przeznaczenie poglądy, występując na jaw, wrą, burzą, kipią, walczą, ścierają się tworząc jak i w naszym świecie, dramata przejmujące grozą lub zdumiewające pięknością swojej treści.

Poznaniu tego Szanowna Pani poświęciłem drugą połowę całego mego żywota, pierwsza przypadła dla ludu wiejskiego, a im więcej zagłębiałem się w badaniu, im więcej wtajemniczałem się w ten świat o grubej siermiędze i spracowanej ręce, odsłaniając dla wielu nieprzeniknione zasłony pod cieniem których żyje i rozwija się, tym więcej przywiązywałem się do niego przychodząc do przekonania, że ta kropelka wiedzy zaczerpnięta z oceanu niepojętej mądrości, mimo słusznej chluby jaka nam przynależy z jej posiadania, nie stanowi jednak tak wielkiej potęgi, abyśmy bez bluźnierstwa i śmieszności mogli się jednoczyć z naturą ludu wyrzec. Owszem wszystko co nas głównie charakteryzuje i nadaje cechy wyróżniające z pomiędzy innych ludów Europy, cnoty, wady, błędy i śmieszności, wszystko to znalazłem w ludzie, tylko w objawach na zewnątrz warunkujących się stopniem posiadanej oświaty.

W wyśledzeniu tej różnicy, w poznaniu nieraz tak subtelnych odcieni, że znikając jak błysk gromu przed okiem najtroskliwszego badacza, zdają się uniemożebniać ich pochwycenie, spoczywa cała trudność obrazowania, aby to nie było wyrobem li tylko domysłu lub bujnej wyobraźni, ale prawdy tak wielce pożądanej.

Czym w Obrazkach Warszawskich spełnił to zadanie, osądzisz Szanowna Pani i światła publiczność przystępująca bez uprzedzenia do ich odczytania. Co do mnie, nie powodując się zbytnią skromnością, z obawą wielką zabrałem się do ich ogłoszenia. Znam ważność zadania i jego trudności. Trzy dziesiątki lat pracy, są niczem prawie w stosunku do jego wielkości i znaczenia. Wgrzebałem się w serce ludu i jego duszę, ale tylko jak geolog w zwierzchnie pokłady ziemi, z których domyśla się jej wnętrza. Poznałem dosyć ale nie wszystko, wiem coś ale nietyle jakbym pragnął, domyślam się wiele ale ileż to trzeba lat pracy aby z przypuszczeń

lwysnuć prawdę tak pożądaną. Uwagi te Szanowna Pani nie dla Ciebie przeznaczam ani dla tych, co kochając lud mimo jego niepozorności, przyznają mu jednak człowieczeństwo. Nie potrzebujecie ich, serca Wasze dawno odgadły, com ja dopiero wybadał i zamierzył opowiedzieć.

Pomieściłem je więc nie dla Was, ale dla otumanionych niejako pozorem świata zowiącego się ucywilizowanym, po za jego obrębem nie widzących udzi godnych tej nazwy, i dla zbyt pochopnych młodych pisarzy, szyderstwem, ośmieszaniem, wymyślaniem scen najnieprawdopodobniejszych malujących to, czego dobrze nie znają z wielką społeczną szkodą.

Upamiętanie ich jakże upragnione! Jakżebym się cieszył gdyby te słów kilka mogły ich zwrócić na właściwą drogę, do pilnego badania rzeczy tak wdzięcznej. Talenta ich niezaprzeczenie wielką rokują nadzieję. dusza moja raduje się ich przybytkiem, ale pośpiech wszystko popsuć może. Jam zaczął, wskazał drogę, niechże te młode orły tak śpiesznie rwące się do lotu, pójdą dalej za moim przykładem. Ludzi nie sądzi się z form zewnętrznych cywilizacyą wyrobionych, ani z układnej mowy nauką podniesionej ani nawet z sumy wiadomości pamięć ich obciążającej. Omyłka tu pewna a i obrazowanie na podobnej podstawie musi być wadliwe i niedostateczne. Człowiek, to duch w nim działający, to co go ożywia, co budzi w nim myśl i rozwagę, co go podnosi w wyżyny lub rzuca w kałużę. Badać to w ludzie i poznać, to ich obowiązek, czyż się wymówią od jego spełnienia? Nie przypuszczam.

Otóż stanowisko z jakiego zapatrując się na lud nasz, radbym je przelać w przekonanie każdego co pragnąłby go poznać tym czem jest rzeczywiście. I dla tego czuję się jeszcze Szanowna Pani w obowiązku dodać, że postacie wprowadzone do Obrazków Warszawskich, jakkolwiek nie są fotografiami ale typami uosabiającemi w sobie poczucia rozlane w całej zbiorowości, mówią jednak tak jak je podsłuchałem i działają jak na to patrzyłem lub dowiedziałem się z opowiadania. Podnosząc co dobre a wstrętne odrzucając, nie pominąłem cieni ani śmieszności, unikałem tylko przestępstw prawem ściganych, bo te nie stanowią charakterystyki ludu, tylko są obrazem zboczeń moralnych w jeden sposób wszędzie zarówno u nas jak i na całym Zachodzie praktykowanych. Brutalną także stronę, szorstkość w mowie, brak form światowych, jako znanych wszystkim, o tyle tylko uwydatniłem, o ile to było koniecznem. Zewnętrzna strona co chwila uderzająca w oczy, nie potrzebuje aż pomocy literackiej do bliższego z nią poznajomienia; to dopiero co się pod tą zewnętrzną niepozorną skorupą dzieje, co pod nią myśli, sądzi, rządzi mową i czynami, to dopiero godnem jest ciekawości zarówno badacza jak publiczności. Ze złem a nawet strasznem złem poznać się łatwo w archiwach sądów karnych i więzieniach, w których nie sami się tylko prostacy znajdują: chcąc się zaś nie tyle z dobrem zaznajomić jak z grą moralnych czynników w duszy ludu zamkniętych, trzeba się wśliznąć prawie potajemnie w jego domowe otoczenie, pożyć z nim, pogwarzyć, podzielić się smutkiem, radością, ucieszyć i to nie raz nie dziesięć zanim uchwycą się rysy charakterystyczne jeden jakiś szczegół wyjaśniające.

Nadto w Obrazkach moich nie sami wchodzą prostacy. Przymieszałem do nich i osoby należące do sfery wyższej, tak zwanej ucywilizowanej ale przykute statecznie do warszawskiego bruku. Było to koniecznem; potrąciwszy o prąd tak dziś wszechwładnych materyalnych bezwzględnie idei spływających z góry ku dołowi, musiałem i przedstawicieli ich włączyć do mego opowiadania. Zajmują oni dość przeważne miejsce ale nie samoistnie tylko wplątane w dramat stanowiący osnowę całego opowiadania, w którym najniższe warstwy społeczne obok najwyższych niemal składają jedną tkankę i przyczyniają się do jej rozwiązania.

Skromna to niezmierna praca, jak kłosek przy drodze wyrosły i przypadkiem schroniony od zatracenia. Jeżeli znajdzie się w nim choć ziarnko pożywne, będzie to zachętą dla drugich, zdolniejszych do studyowania przedmiotu tak wielce interesującego. Ty zaś Szanowna Pani przyjmij ją jaką jest, jaką wychodowała chata w której powstała, jako pamiątkę chwil lepszych któreśmy wspólnie pod Twym gościnnym dachem przeżyli.

Nie wyjdą one nigdy z mej pamięci, zanadto utkwiły w sercu, zanadto późniejsze lata boleścią naznaczyły swój przebieg, aby mogły być zapomniane. Za dar tak nieoceniony przyjmij to co Ci w chudobie swej literackiej ofiarować mogę. Jedno życzliwe Twoje słowo da mi wszystko czego pragnę dla mojej pracy, bo utwierdzi przekonanie że się na coś przydała.

Jan Kanty Gregorowicz.

Warszawa dnia 12 Października 1877 roku.

Tom pierwszy.

Franek Skowron.

Rozdział I.

Hej ty Wisło, moja Wisło
Pod lasem;
A mam ci ja fujareczkę
Za pasem,
A jak ci ja na fujarce
Zagraję,
Usłyszy mnie moje dziewczę
O staje!

Tak śpiewając lud wiejski na pobrzeżu Wisły zamieszkały, wplata w piosenki dumki o płowej fali co wypływa z gór wielkich, mija Warszawę i ginie w morzu czarnem jak noc a głębokiem jak przepaść, do której dna i promień słońca nie dosięgnie.

Oj! Wisełka to Wisełka, harda a ukochana, szkodna a upragniona, szmerem i szumem szepcze tajemnice o topielicach i syrenach od których zamiera serce i włosy dębem stają. Gdy świat uśmiecha się pogodą, cicha, potulna, wygląda jak modra wstążka, wśród kwiecia i zieleni wpleciona we włosy dziewczęcia; lud patrząc na nią cieszy się, pola brzęczą pracą, pastwiska huczą radośnym rykiem bydła, ptastwo wesoło szczebiocze głusząc tęskny głos ligawki, a w dzień świąteczny dokoła taka panuje cisza, że słychać prawie szelest własnej myśli jak trzepot motyla nad łąką unoszącego się. Ale chwila to niedługa; świątynie wypróżniły się, słońce nachyliło ku zachodowi; lud w cieniu drzew i budynków zasiadł w rodzinnych kółkach i gwarzy, dziatwa igra, liście drżą, pola szmerem wtorują, Wisła pluszcze, a wierny pies domowy leżąc wyciągnięty przy nogach swoich panów, gniewa się na uprzykrzony owad rojem go obsiadający.

W tem w oddaleniu ozwał się głos skrzypiec i buczenie basetli: głowy wszystkich zwracają się, starcy patrzą i dumają, młodzież uśmiecha się i chichocze, głos skrzypiec wzmaga się, basetli grubieje, skoczna nuta żwawieje, i dalej w tany a ostro i wesoło, hej! dziś! bo kto zgadnie co jutro wypadnie. Szczęśliwi!

Ale Wisła nie zawsze taka potulna: ot tam gdzieś daleko, oberwała się chmura, jak lud powiada; w innem miejscu opadły deszcze nawalne, górskie potoki wzmogły się, rzeki podrosły i Wisła ni ztąd ni zowąd, wśród najpiękniejszej pogody zaczyna podrastać, wspinać się ku brzegom, rozlewać w niziny niby wąż pełzający ku upatrzonej zdobyczy. Nadwiślak rozbudzony szturmem fali o ściany swego domostwa, wybiega z przestrachem, i zobaczywszy Wisłę tuż przy progu w pienistych kłąbach zagradzającą mu wyjście, z żoną i dziatwą ucieka pod strych, wciąga krowę i owce i żywiąc się okruchami chleba, papką z mąki lub surowym grochem, czeka cierpliwie pomocy dobrych ludzi albo ustępu powodzi, co go tak zdradnie odcięła od całego świata.

Dnie te straszne dla nadwiślańskiego rolnika, dla Warszawiaka z Wisły i przy Wiśle żyjącego są żniwem plon obfity obiecującem. Rolnik boleje patrząc jak fala rzeczna zalewa owoc całorocznej jego pracy, podmywa lądy, zabiera drzewa, budynki, garście zboża lub pokosy siana: Warszawiak smuci się także bo i w nim serce nie drewno, ale pilnie śledzi co Wisła na swym grzbiecie niesie i dalej na wodę po zdobycz z hakami, postronkami, choćby niedojeść i niedospać. Po zalewie rolnik kurczy się i pokornieje, Warszawiak wzmaga się i nabiera hardości: gdy Wisła pilnuje koryta, rolnik marzy o obfitości spodziewanego plonu, Warszawiak łowi ryby, czerpie żwir, wydobywa piasek i wyczekuje rozbicia tratwy jakie mu zwykle dobry przynosi zarobek. Jeźli Wisła nie brykała w lato, rolnik z radością spogląda w zimie na pełne stodoły, na dobytek tłusty jak opasy, na mieszek pęczniejący wkładanym w niego groszem; Warszawiak na Wisłę pokrytą lodem patrzy z niechęcią, żalem i smutkiem. Co było to się przeżyło, co rąk dopadło to się zjadło, a tu chłodno i głodno, próżnują czółna, wędki i czerpaki (*), stoją w przystaniach łazienki i berlinki, próżnuje i Warszawiak czepiając się pracy tylko z konieczności. Błąkając się nad Wisłą zagląda i do Warszawy, ale nic go nie cieszy i nie zajmuje, bo Wisłę ściska zima a jego niedola. Z wiosną dopiero, z zaułków nadbrzeżnych wysuwa się jak kret z ukrycia, junaczo przekręca czapkę i dalej do Wisły do swej ukochanej.

Rolnik kocha ją bo choć niszczy ale bogaci: Warszawiak z zachwytem spogląda na jej fale bo go darzy zarobkiem i swobodą. Jest rzeczywiście coś tajemniczego w tem serdecznem przywiązaniu do Wisły ludu przy niej zamieszkałego. Uposaż go w lepszą dolę w wyżynach, daj pewniejszy i stały zarobek w murach Warszawy, Nadwiślak nigdzie nie wytrzyma, zacznie marudzić, opuszczać się, tęsknić i narzekać i w końcu porzuci wszystko śpiesząc do swej ukochanej rzeki.

Szydercy z idealizmu powód tego przywiązania naznaczają w warunkach czysto fizycznych, w zamiłowaniu próżniactwa i łatwych korzyści jakiemi Wisła darzy swoich mieszkańców. Jest w tem część prawdy ale nie cała: każda miejscowość tryska właściwym jej urokiem, który pociąga i przywiązuje nawet prostaka do ubogiej chaty kolebki jego życia. Wilia, Niemen, Dniepr, Don, Wołga, Dunaj, miały swoich śpiewaków, ma ich i Wisła i Nadwiślak kochając ją w doli i niedoli, składa piosenki na jej pochwałę ale zaraz sobie przypomina że ma ukochaną, patrzy na Wisłę co płonie pod lasem i tonami fujarki przemawia do dziewczęcia, żeby dowiedziała się że tęskni za nią choć w płowej fali zatopił spojrzenie.

Nadwiślacy Warszawscy lud to dzielny ale hardy, w kaszę nie da sobie dmuchać. W zaczepce stanie jeżem, w krzywdzie odda z nasypką, zbesztany odeprze się bez słów wyboru, za szyderstwo odpłaci się szyderstwem że odrazu zamknie usta choćby

---

(*) Kosze plecione z drutu używane zwykle do czerpania żwiru z dna Wisły, Nadwiślacy warszawscy nazywają koncerzami. Nazwę tę przemieniliśmy na czerpaki bez nadziei jej upowszechnienia.

najbardziej wygadane. W niemożności otwartego wystąpienia pomrukuje jak lew w pętach, dąsa się, zżyma, ściska pięście ale nigdy nie zapomina. Za ten przymus odpłata wkrótce następuje, jeźli się odwlecze to nie uciecze, bo przypomnienie płoni mu lica, pragnienie odwetu trawi go i niepokoi. Mimo tego umie wybornie oceniać życzliwość i grzeczne z sobą postępowanie, a wtedy skory do usług choćby bez widoków korzyści, czasami podnosi się aż do poświęcenia.

Znając go bliżej, trzeba ukochać albo bać się, a w każdym razie być ostrożnym, bo z przekleństwa do czynu bardzo prędko przechodzi.

Zkąd werbują się Nadwiślacy Warszawscy trudno odgadnąć, jak niepodobna wyśledzić chmurki z której spada płatek śniegu na trawnik umajony zielenią. Najwięcej dostarcza ich Praga i drugie pobrzeże Warszawy, tam przemieszkują, ale się nie starzeją i siwy włos rzadko zdobi głowę warszawskiego Nadwiślaka. Gdzie się podziewają? Niewiadomo także; widocznie z wiekiem poważniejszy nastrój myśli, każe myśleć o utrwaleniu losu w przyszłości i porzucenia doraźnego zarobku, przy którym choć w swobodzie, cierni i głogu nie brakuje.

Jednym z owych Nadwiślaków warszawskich był Franciszek Skowron, zwany zwykle Frankiem albo Skowrońskim. Zkąd się wziął przy Wiśle nikt nie umiał powiedzieć a nawet i sam Franek niewiele więcej świadomy, pytającym odpowiadał z największą powagą:

— Spadłem z deszczem jak ryba, bo czytałem że burza zabiera czasem całe stawy i przelewa je w dalsze okolice, dla czegóżby i dzieci nie miała przerzucać?

Umiał nieźle czytać, a gdy go pytano jakim sposobem nabył tej umiejętności, zwykle machnąwszy ręką odpowiadał:

— Ot! zwyczajnie litery zbierałem po świecie, jak dziad grosze w zaduszki. O jednej naukę wyprosiłem, drugą podsłuchałem, przy trzeciej dostałem w kark, przy piątej w łeb, tej znowu domyśliłem się, innej podpatrzeniem nauczyłem i tak jakoś poszło że zacząłem czytać. Najtrudniej mi jednak szło z literą *l* i *r*, które wymawiałem jakby mi język chciał wypaść na ziemię. Ale jak raz przy czytaniu majster buchnął mnie w plecy pięścią, przekręcił plecami i kopnąwszy wyrzucił za drzwi, tak odrazu z językiem przyszedłem do ładu.

Umiał także pisać, potrafił nawet układać listy dla niepiśmiennych, znał niektóre powieści Kraszewskiego, powiastki ludowe Janka z Bielca i prace innych pisarzy, czasami czytywał Kuryera i co najważniejsza że umiał to zapamiętać co przeczytał, ale w tem wszystkiem nie było za grosz ni ładu, ni składu. Coś niby znał i wiedział, wiadomości jednak jego były podobne do książek, które czytywał zwykle bez początku i bez końca, a jeżeli te dziwnym znalazły się przypadkiem, to z pewnością w środku brakło tu i owdzie po kilka lub kilkanaście kartek. Jakim sposobem książki te dochodziły do rąk jego, trudno także powiedzieć. Krążyły od ręki do ręki jak liść gnany wiatrem; tu zatrzymały się dzień jeden, tam miesiąc, tu leżały na szafie, tam pod łóżkiem, tu zgubiły jedną kartę, tam kilkanaście i tak szły samopas po świecie, jak sieroty niepewne ni dnia dzisiejszego ni jutra. Kto je miał w ręku był ich właścicielem, przeczytał, porzucił w pierwszem lepszem miejscu, to samo zrobił drugi i trzeci, stanowiły więc własność wszystkich, a nigdy jednego. W sieroctwie tem wyglądały biednie, brudno, obszarpano, z końcami kartek pozwijanemi w grube pęki, porozrywane, potargane, zwyczajnie jak biedactwo na tułaczkę przeznaczone.

Mimo jednak tak dorywczego czytania i mieszaniny różnych wiadomości, Franek pomiędzy towarzyszami był uważany wcale nie za głupiego chłopaka i rej wodził we wszystkich wypadkach, w których sprytem należało się ratować.

Raz w lecie rozbitą tratwę Franek przy pomocy towarzyszy zgromadził i zbił na nowo do kupy. Pisarz dozorujący spławu kilkunastu tratew, wypłacił rzetelnie umówioną należytość, ale wzbraniał się wyliczenia dwóch rubli, przyrzeczonych za spieszne i dokładne wykonanie roboty. Nadwiślacy z przyjętego obowiązku wywiązawszy się sumiennie, odmowę wypłaty owego naddatku uznali za oszustwo i wszczęła się kłótnia z odgróżkami, wytrząsaniami pięści a przytem z tak wielkim hałasem, jakby Wisła wezbrała i wszystkim groziła zalewem. W podobnych zajęciach Franek był mistrzem i zdawało się, że na swe rozkazy posiada cztery pięście i dwa języki żadną pracą nie strudzone. Od groźby i krzyków przyszło do chwytania pisarza za piersi i gardło, napadnięty zaczął wrzeszczeć jak opętany, powstał zamęt, zaczęli się zbiegać flisacy i byłaby z pewnością powstała bójka, gdyby nie nadbiegł Franek, który się w tej chwili gdzieś zadział i znowu na nowo odszukał.

— Dajcie pokój bracia! wołał rozdzielając zapaśników i zwracając się do pisarza mówił dalej: ciebie pogański synu niech mór zabije, nie ujdziesz ty i tak naszej ręki. Chodźcie bracia!

Powolność ta Franka niezmiernie dziwną wydała się jego towarzyszom, usłuchali jednak rady choć z trudnością nie mogąc się odżałować że pisarzowi nie złamali choć jednego żebra a flisakom nie wybili po zębie.

— Cicho bracia, cicho! szeptał Franek wchodząc do łodzi stojącej przy tratwie, na której przeprawić się mieli na Pragę. Uważajcie tylko dobrze miejsce gdzie tratwy stoją, bo jak odpłyną to wyciągniemy z wody dwa karaski... ale złote.

Franek zatarł ręce i uśmiechnął się złośliwie.

— Cóż to za złote karasie? zapytali z ciekawością towarzysze. Gadaj Franku bo żydowi nie można darować oszustwa.

— To też go nie darujemy, ho! ho! nie taki ja pohopny do zgody kiedy idzie o swoje trzy grosze. Zaparł nam dwa ruble, to też zepchnąłem mu dwa worki pszenicy do Wisły, a to więcej warte jak nasza krzywda.

— Dwa worki, a to wybornie! zawołał Władek, chodź Franusiu niech cię uściskam.

— A i cóż nam z tego przyjdzie? zapytał Józek jeszcze niewtajemniczony w różne wybiegi swoich towarzyszy.

Franek z Władkiem spojrzeli na niego z szyderstwem, uśmiechnęli się i Franek klepiąc go po ramieniu rzekł:

— Zobaczysz jutro co nam z tego przyjdzie, jak tratwy odpłyną.

— To je wydobędziemy z Wisły?

— A ma się rozumieć i za dwa ruble weźmiemy dziesięć. Szachraj pozna co znaczą Nadwiślacy!

Na drugi dzień tratwy odpłynęły, worki zatopione zostały wydobyte, pszenica wysuszoną, przedaną, a że w dobrej była cenie, Nadwiślacy zamiast dwóch rubli wzięli kilkanaście. Wszystko to jednak odbyło się w największej tajemnicy, nocną porą pod głównem przewodnictwem Franka, który od tej chwili nabrał pewnej przewagi moralnej i żadne większe przedsięwzięcie bez jego współudziału nigdy nie zostało dokonane. Rosły, zgrabny, dobrze zbudowany, miał rysy twarzy dość regularne i pociągające, szczególniej gdy oczy jego ciemne żywszym zajaśniały blaskiem. Zdarzało się to zwykle gdy rankiem przed wschodem słońca lub wieczorem przed jego zachodem zwrócony ku Wiśle wpatrywał się w jej fale, jakby śledził grę światła jutrzenki lub promieni słonecznych drgających na jej powierzchni. Czasami lubił się przyglądać fali wiślanej i przy księżycu, a gdy zapatrzony w smętny a jednak malowniczy ten obraz, łajany był przez towarzyszy za próżną mitręgę, zwykle odpowiadał:

— Idźcie, przecieć trafię za wami.

Najulubieńszem też miejscem dla niego było pobrzeże Wisły; tam najczęściej po całodziennym skwarze zasiadał ze swemi towarzyszami i gdy ci wyciągnięci na piasku figlując wzajemnie z siebie żartowali, on patrzył i dumał.

Raz wieczór szczególnie był cichy i spokojny; młodzi Nadwiślacy, gdyż Franek z nich najstarszy miał zaledwie dwadzieścia dwa lat skończonych, leżeli pokotem przy sobie dość frasobliwi, bo od kilku dni Wisła ich karmicielka bardzo zeskąpiała. Wędki zawiodły, podrywki nie dopisały, żwir jakoś ukrył się że go wytropić nie mogli, na piasek nie było żądania, żadnej tratwy fala nie rozbiła, słowem w kieszeniach pustki świeciły. Franek jakiś posępny, leżąc przy drugich ze słomką w ustach którą bawił się bezmyślnie, to spuszczał głowę ku ziemi, to ją podnosił patrząc w dal odległą lub na miasto po drugiej stronie rozłożone. Na Wiśle połyskiwały promienie ognisk na tratwach przez flisaków rozpalone, pomroka wieczorna coraz więcej przygaszała blask purpury już zaszłego słońca: od miasta i mostu gwar i trajkot zlewały się w jeden niewyraźny szum wrzawy, jakby dąsającej się na plusk rzeki wtorujący ciszy nadchodzącej nocy. Nad Warszawą od blasku płonących w niej świateł, zaczęła się rozwijać świetlana smuga niby opona utkana z drogich kamieni, a tam w górze wysoko, gwiazdka po gwiazdce występowała na szare tło nieba, cicha, milcząca, jakby pragnąca ciekawym promieniem zajrzyć w głąb nurtu i policzyć łzy ludzkiej niedoli w nim zatopione.

— Chodźmy do domu, odezwał się Władek, dając klapsa leżącemu przy sobie Józkowi.

— Tylko z ręką ostrożnie! Z takiemi żartami schowaj się na Saską Kępę.

— A bom zły żem głodny i bez grosza. Patrz, jak wycieńczałem jak pijawka w butelce.

— Nic ci nie będzie, ale Franek to zaradny, gryzie słomkę a myśli o kiełbasie.

— Albo o syrenach wiślanych i topielicach, dołożył Władek.

— A czy wy myślicie, że topielic albo syren nie ma wcale?

— Ej! nie gadaj! odparł Władek siadając z bojaźnią i spoglądając na tuż o kilka kroków płynącą rzekę. Czasami, szczególniej też w nocy, zdaje mi się jakby co w Wiśle jęczało, czyby to był płacz Syreny?

— Może i płacz...

— Widać że i one głodne bywają, przerwał Józek, bo ja w głodzie choć nie płaczę ale skwierczę...

— Jak pączek na patelni, dołożył Władek i wzdychając domówił: jakiż to smaczny frykasik!

— Raz je tylko jadłem w życiu i to bardzo dawno.

Władek przełknął, Józek oblizał się, a Franek mówił dalej:

— Pamiętam, byłem wtedy dzieckiem bardzo maleńkiem, i niby terminowałem u szewca na Solcu tuż nad Wisłą. Ale szewctwo jakoś mi nie smakowało....

— Skóra bez mięsa nic nie warta...

— Nie ma jak u rzeźnika, przerwał Józek, jedzenia w bród, tylko do szlachtuza niełatwo nawyknąć.

— Rzeźnictwo zupełnie mi się nie podoba, odezwał się Franek i już wolałbym szewctwo choć i to dyabła warte. To też jakem niby terminował, za-

miast pilnować stołka i dratwy, zabawiałem się nad brzegiem Wisły i nieraz późnym zmierzchem powracałem do domu. Majster łajał mnie ale nie bił... poczciwa to była dusza. Raz na imieniny jego, żona usmażyła pączków i wieczorem sprawiła festyn, bo nawet była herbata z arakiem.

— A były serdelki?

— Czekaj, nie przeszkadzaj, jak był festyn to były i serdelki, odparł Franek, ale tego dnia o nic już nie dbałem tylko o pączki. Wieczorem zasiedliśmy razem, majster żartem wyganiał mnie z domu, ale ja śmiałem się i pączki popijając herbatą tak zawijałem, że aż mi się trzęsły uszy.

— To dobre być musiały? zapytał Józek.

— Ba! wielkie jak kocie łby, odrzekł Franek. Nim się zjadło jednego, to zeszło z kilka pacierzy.

— A niechże cię! zawołał Władek krzywiąc się żałośnie, że mnie też nie było na tym festynie.

— Zjadłem trzy sztuki, mówił dalej Franek, majster przy drugiej szklance dobrze arakiem przyprawionej, rozgadał się i potem wydobył jakąś książkę starą i zabrukaną, z której prześliczne czytał nam historye, o księżniczce zaklętej w kaczkę na Dynasach, a królewnie zaczarowanej na górze Sobotniej, o topielicach i syrenach w Wiśle, których śpiewy a często i jęczenia płaczliwe słyszeli flisacy. Majster czytał a ja słuchałem z otwartemi ustami, a majstrowa składała ręce i kręciła głową z wielkiego podziwu.

— I to historye wszystko były prawdziwe?

— Przecieć drukowane, odrzekł Franek, z byle czem nie zadawaliby sobie tyle roboty.

— Albo to prawda! zawołał Władek. Przecieć Kuryer Warszawski także drukowany, a co to w nim nakłamią że aż uszy bolą tak słuchać niemiło.

— Co tam Kuryer, to plotka o prawdę nie dba (*). Historye co mi majster czytał, to bardzo dawne więc musiało się tak dziać kiedy to opisali. Ja też wierzę w syreny i topielice i powiem wam, że jak w skwar w lecie zdaje się że płynie coś nad Wisłą i polami, to jak się w to dobrze wpatrzę, to widzę niby głowy, niby ręce wyciągnięte w górę, i wszystko tak się miesza i kotłuje z sobą, że aż mnie strach przejmuje choć od tego oczów oderwać nie mogę.

— Nie gadaj! mruknął Józek i z przestrachem przysunął się do Franka.

— I mnie mrowie trochę przechodzi, odezwał się Władek, oglądając z bojaźnią po stronie, ale radbym te syreny czy topielice zobaczyć. Pokaż mi je przy pierwszej sposobności.

— Kiedy najczęściej widzę je w samotności: przy ludziach choć patrzę to nie mogę nic wypatrzeć. Majster mi mówił że syreny to zwykle w pojedynkę ludziom się pokazują.

— A czy te syreny są ładne?

— Nie wiem: topielice podobno strasznie wyglądają, ale syreny to mają być śliczne. Powiadają że syreny jak im się sprzykrzy topielisko wiślane, to przemieniają się w ładne dziewczęta i wabią do siebie uśmiechem, ale wnet uroda z nich opada i z tego żalu zostają topielicami. Chciałem to lepiej poznać z książek, bo to rzecz ciekawa i dla tego nauczyłem się czytać, ale majster umarł, książka gdzieś przepadła, a ja dostałem się do drugiego szewca na Pragę i tam z biedy i poniewierki zapomniałem o wszystkich syrenach. Raz jednak widziałem ją...

— Widziałeś?

— Tak, widziałem, płynęła środkiem Wisły i taka była śliczna, tak się jej włosy wiły w pierścieniach około szyi, że wskoczyłem do wody żeby się jej lepiej przypatrzeć.

— No i cóż, przypatrzyłeś się?

— Ej! kiedy jak dopłynąłem zmieniła się w oczach prawie w pień przewrócony, z którego korzeni trawa i słoma spadały.

— Ej! to ci się zdawało że to była syrena.

— Nie, nie zdawało, na prawdę była to syrena, bom dobrze patrzył a tego dnia nawet szklanki piwa nie wypiłem bo byłem bez grosza jak dzisiaj.

— Majak jesteś mój Franku odezwał się Władek, przewraca ci się w oczach i basta.

— Tak i mnie się zdaje nieraz, ale równie coś jest w tem, czego nie mogę pojąć, odrzekł Franek opierając głowę na ręku i mówił dalej z pewnym smutkiem. Od tej pory warsztat szewcki tak mi zbrzydł, tak mi smoła śmierdziała, że nie mogłem wytrzymać i choć prawie nagi i głodny uciekłem od szewca, żeby już Wisły nigdy nie odstępować.

— To i na mnie takie czary spadły, odezwał się Władek, to pewno syreny tak mnie oczarowały, bo od Wisły ani weź! Zdala od niej tak nudno...

— I mnie tak samo, domówił Józek wzdychając, bo choć czasem w gębie nie ma nic na zębie i brzuch częściej próżnuje jak pracuje, przy Wiśle jakoś weselej i w Warszawie jednej chwili nie mogę się utrzymać.

— Tak, tak, potwierdził Władek, Wisełka kochana to jak matka, bez niej i żyćby niewarto.

— Chodźmy jednak, dziś przy niej nic nie wysiedziemy trzeba jakoś sobie radzić (*).

(d. c. n).

(*) Wywody te Franka i Władka, publiczność zgromadzona na odczycie przyjęła z oznakami zadowolenia, a więc uznaniem że prawdę w sobie zawierają. Sprawozdawca Gazety Polskiej w N-rze 55 z r. b. 1877, podnosząc drobny ten ustęp, powinien był albo podzielić wynurzone w nim zdanie, albo dowieść że jest potwarzą. Nie zrobił jednak tego i uznał za właściwe skarcić Franka za wtrącanie się do dziennikarstwa, i w osobie jego dać Autorowi nauczkę, że dowcip *gminny* nie zawsze jest dowcipem ludowym i że odczyty mając cel poważny, wymagają zachowania przyzwoitości. Podług więc Sprawozdawcy, wypowiedzenie *prawdy* śmiałe i otwarte, jest *dowcipem gminnym i nieprzyzwoitością*. Dawniej nazywano to odwagą cywilną. Dziś prawda gniewa nawet niezaczepionych, jedynie dlatego że jest prawdą, że ośmieliła się wyjść na jaw i głośno przemówić.

Orędownictwo to sprawozdawcy Gaz. Polskiej, niezmiernie dziwne, zwłaszcza że sam Kuryer Warszawski jedynie w kwestyi tej interesowany, nie wystąpił we własnej obronie, tylko dał uczuć, że mu się zrobiony zarzut nie bardzo spodobał. Nie mogłem go jednak pominąć, jako stanowiącego jeden z podsłuchanych rysów charakterystycznych ludu warszawskiego, dowodzącego nim najlepiej prawa wtrącania się do dziennikarstwa. Obecnie zaś po wystąpieniu Sprawozdawcy Gaz. Polskiej nie mogłem go usunąć, aby nie narazić się na podejrzenie upamiętania w rzuceniu lekkomyślnej potwarzy. Słuszność jednak przyznać należy, że Kuryer Warszawski porzucił teraz zupełnie wyłączne uganianie się za nowinkami, bez względu czy są prawdziwe czy też zmyślone.

Lud warszawski z pewnością oceni te usiłowania redakcyi jak na to zasługują, a co wyrzecze w tym przedmiocie a ja podsłucham, nie omieszkam użyć jako materyału do pracy w przyszłości mającej się dokonać.

J. K. G.

(*) Rozprawy te młodych nadwiślaków o syrenach i topielicach, nie bardzo spodobały się panom Sprawozdawcom. Zapomnieli widocznie, że opowiadania podobne pełne fantazyi i cudowności, są utworem poetycznym wyłącznie ludowym, że lud niezmiernie niemi się zajmuje, chętnie o nich rozmawia i nie uważa wcale za zmyślenie. W rozmowie młodzieży nadwiślańskiej, wszystko to starałem się uwydatnić, z poglądami rozmawiającyh odpowiedniemi do ich usposobienia.

J. K. G.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

do Południowych Stanów Zjednoczonych, w 1875—1876 r.

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dalszy ciąg).

Lud sprowadzony na ich miejsce pędzono do pracy od świtu do zmroku, karmiono kukurydzą i południowemi, słodkiemi ziemniakami, trzymano we wszystkich porach roku w chatach plugawych, bez okien, pełnych robactwa i nawiedzanych przez grzechotników. Wszelkie skargi w łamanej angielszczyznie zbywano drwinami. Jeden z robotników, śmielszej natury, zażalił się na migi przed najbliższym sędzią pokoju, który go wytrącił za drzwi. Tejże nocy spadła na jego chatkę gromadka osób w maskach — członkowie stowarzyszenia Ku-Klux, utrzymującego przewagę swojskiego, białego żywiołu nad murzynami i kolonistami. Ci ludzie oćwiczyli go niemiłosiernie. Nazajutrz zabronił „pan" wszystkim robotnikom nietylko oddalania się z plantacyi, lecz nawet wzajemnych odwiedzin. W ten sposób pozbawił ich sposobności do układania i zanoszenia skargi do wyższego sądu.

Te nadużycia wyczerpały cierpliwość słowiańską. Kobiety ułożyły spisek w nocnych, tajnych zrokach. Pewnego dnia otoczyli mężczyźni swojego „pana," kręcącego się niebacznie w śpichrzu tytuniowym, obalili go, związali, i przyłożywszy nóż do piersi wymusili klucze do stajni i wozowni. Zaprzągłszy konie do wozów, wsadzili na nie swoje rodziny, wskoczyli do nich sami, zatrzymując „pana" jako zakładnika, i pojechali do Lexington'u. Okoliczni członkowie Ku-Kluksu ścigali ich, lecz nie odważyli się atakować, z obawy o życie zakładnika. Smutny los byłby spotkał jednakże tych ludzi w mieście, gdyby się nie nawinął urzędnik nie ze stanu Kentucky ale Stanów Zjednoczonych, zwany *marshall.* On wezwał pomocy patrolu wojskowego, stojącego w mieście, i odesłał cudzoziemców pod eskortą do Louisville. Zyskawszy swoją wolność biedacy dopominali się o zapłatę za rok zmarnowanego czasu, ale nic nie wskórali przed sądami miejscowemi, chociaż konsul austryacki ujmował się za nimi. Pożegnawszy ziemię cyprysów i klimat włoski, przybyli oni w ostatniej nędzy do mroźnego Cincinnati, gdzie rodacy zajęli się ich dolą wedle sił swoich: Gazety w Cincinnati pisały obszernie o tych biedakach.

W Lexington'ie zacząłem się oswajać z południowemi zwyczajami. Stanąłem w niewielkim hotelu. Zapisawszy imię do księgi na kantorze, obróciłem się do buchaltera w izbie gościnnej, z prośbą o pokój i wieczerzę. Nie widziałem twarzy tego zacnego południowca, gdyż leżał w fotelu, z głową pochyloną w tył, gwiżdżąc i bijąc w takt obcasami, złożonemi na kantorze. Nogi miał olbrzymie, zkąd domyślałem się, że mam do czynienia z słuszną osobą.

— Zawołałem o pokój i wieczerzę, rzekłem po raz trzeci, albo czwarty czy nie słyszałeś pan?

Po nad kantorem przeleciała rakieta żółtej śliny.

Pan buchalter żuł prymkę, więc nie mógł mi odpowiedzieć prędzej, aż ją wypluł. Zmieniwszy cokolwiek swoją pozycyę: przytknął usta do rury idącej do suteryny i zawołał:

— Pokój i wieczerza dla gentleman'a!

Głos z podziemia odpowiedział nakształt echa:

— A! a!

W dobry kwadrans zjawiła się wreszcie osoba w bieli, czarna u obydwu końców, buty, twarz i kudły odbijały się nadobnie od śnieżnej odzieży. Murzyn ten zaprowadził mnie do umywalni, do stancyi numerowanej, do jadalni; służył mi przy wieczerzy: nazajutrz podał śniadanie i oprowadził mnie po mieście, gdy odjeżdżałem przyniósł rachunek i odebrał pieniądze, które zaniósł do owego buchaltera w pierwszej izbie. Jegomość ten znów spoczywał z olbrzymiemi łapami na kantorze; zaledwie raczył zmienić cokolwiek pozycyę, celem schowania pieniędzy do kieszeni. Mogłem wierzyć, że człowiek ten spędza życie w swoim fotelu, poruczając wszelką pracę owemu murzynowi, że nawet szelest banknotów nie budzi go z apatyi.

Myliłem się. W chwili gdy chciałem wyjść do dworca kolei, jegomość zerwał się z fotelu i przypomniał o „bakszysz.“ Lexiton leży już po za granicą krajów, w których nie demoralizują służby, dając jej na piwo.

— Dać panu prezent!? zapytałem, a za co?

— Za usługę. Wszak widziałem, jak pan dałeś pół dolara murzynowi. Czyż ja nietaki dobry, jak ten pospolity, przeklęty niger?

Omal nie uderzyłem natręta. Przypomniawszy jednakże, że jestem na Południu, pomiędzy ogniojadami, gdzie każdy perkalowicz i buchalter hotelowy nosi rewolwer w tylnej kieszonce pod połą, żeby zmyć na miejscu obrazę zadaną swojemu honorowi, wyszedłem w milczeniu, nie dawszy jednakże ani grosza. Więc też słyszałem przez 100 kroków nawoływania ze strony tego dziwacznego szefa hotelu, abym nigdy w życiu nie pokazał się jemu na oczy, gdyż dom jego „obejdzie się bez *duczmanów*“ (wziął mnie za Niemca).

Z łaski sędziego Józefa Cox, znanego w uczonym świecie amerykańskim ze swoich badań nad zabytkami przedhistorycznemi w padole Ohio, posiadałem list rekomendacyjny do jednego ze znakomitszych plantatorów pod Lexington'em. Po półgodzinnej podróży koleją wysiadłem obok budki przedstawiającej dworzec, a kwadrans jazdy w najętej jednokonce zawiódł przed piękny dwór świetnej niegdyś plantacyi, przedstawiającej się dotąd nieźle, pod względem uprawy i płotów, pomimo widocznych dowodów, iż nie była już tem, czem bywała za błogosławionych dni niewoli.

Zanim wspomnę o życiu w gościnnym dworze południowym, wytłomaczę, zkąd służyło mi prawo do szczególnych względów państwa *Brackett* właścicieli plantacyi.

Podczas wizyty do Hamiltonu, wdzięcznej, ludnej mieściny pod Cincinnati, zawierającej przeszło sto rodzin polskich, poszedłem dla rozrywki na odczyt dobroczynny, który o tyle mnie zainteresował, iż znaczniejszą część jego odstenografowałem. Sprawozdanie to zużytkował główny dziennik Hamiltonu, co mi wyjednało wizytę i późniejszą znajomość prelegenta, sędziego Józefa Cox, członka głośnego trybunału hrabstwa i miasta Cincinnati. Temat odczytu i prace naukowe pana Cox'a zawsze mnie interesowały, dotykając dziejów licznego, tajemniczego i pracowitego ludu, co zapełniał Stany Zjednoczone przed przybyciem Europejczyków, a może nawet Indyan i znikł bez wieści i śladu, zostawiając tylko zagadkę dla nauki, czem on był, zkąd przybył, gdzie poszedł, co go wytępiło. Ślady jego miast, zabytki rubasznego kunsztu, zjawiają się w najrozmaitszych częściach kraju, nakształt znaków zapytania, zaostrzając ciekawość naszą o ludzie, który je zostawił, lecz nie wyjaśniają niczego prawie.

Sędzia Cox, człek sędziwy i rzecz rzadka w Ameryce urodzony w temże miejscu, gdzie doszedł do godności, pamiętał czasy gdy trzykroć stotysięczne obecne Cincinnati, składało się z kilkuset domków. Zamiast szeregów czteropiętrowych kamienic, zapełniały padół pomiędzy wyniosłą górą i rzeką Ohio (dziś zupełnie przebudowany) mogiły i wały przedhistorycznego narodu. Lud ten lubił igrzyska, nakształt Greków lub Rzymian, albowiem rodzinny domek pana Cox'a stał pośród rodzaju *stadium*, w formie obszernego, wysypanego z geometryczną ścisłością. Wzdłuż wielkiej rzeki i przypływów swoich spotykano mnóstwo zgliszcz i kurhanów, w każdym zaś znajdowano ciekawe wykopaliska, naczynia gliniane, kości, narzędzia kamienne, niekiedy nawet broń miedzianą, z ostrzami twardości stali, gdyż lud ów umiał hartować miedź w sposób zupełnie nam nieznany. Jedyne żyły rodzimej miedzi w wschodniej części Stanów Zjed. znajdują się nad Wyższem jeziorem, więc lud ów wygasły musiał prowadzić handel z krajem tak odległym od siebie, jak Moskwa od Berlina. Wszystko to powiedział mi p. Cox, pokazując piękny zbiór wykopalisk, owoc po największej części własnej pracy. Powtarzam jego słowa, chociaż wiem, iż piszę o rzeczy aż nadto znanej.

Sędzia Cox zbierał wytrwale, z zaciekłością archeologa na wzór pana Dryasduest'a w powieści Walterskotta, relikwie wspomniane powyżej. Kilka razy przyłączyłem się do jego wycieczki i szperań archeologicznych, w odwiecznych mogiłach, na których rosły dęby olbrzymie. Sędziwy entuzyasta, rad że znalazł Gamaliela, sadzał mnie u stóp swoich, ucząc, czyniąc powiernikiem swoich dumań, spekulacyi i hypotez. Czasem nużył mnie, bo traktował jako zdobycz swoją.

Niejeden dzień spędziliśmy na górach po za miastem, grzebiąc sami, lub kierując pracą ludzi najętych przez sędziego. Gdy poszczęściło się nam, staruszek podejmował fant znaleziony, moździerz kamienny, może grot, może delikatną igiełkę z krzemienia, podejmował go, obcierał troskliwie, usiadał na mogile i filozofował... a ja, prostaczek udający znawcę słuchałem mistrza.

— Kto to zrobił? mruczał, monologując raczej, niż zwracając się do mnie. W tem sęk właśnie! Sądząc ze śladów spotykanych w padole, tam, gdzie te wieże tylko sterczą ponad mglistem morzem, wysyłanem z tysiąca kominów fabrycznych, tam stało miasto owych autochtonów, może ludniejsze od obecnej stolicy przemysłu i handlu nad Ohio. Był to lud rolniczy, albowiem mieszkając tak gęsto, nie mógłby żyć z łowów. Osady jego kwitły od Kaliforni do Florydy. Nad oceanem Spokojnym i Wyższem jeziorem praktykował on górnictwo. Budował, a raczej wykuwał miasta w opokach, pośród bezwodnych puszcz Arizony, sprowadzając wodę dla mieszkańców i na pola otaczające swoje grody, za pomocą długich wodociągów. Nad brzegami Atlantyckiego ocenu użyźniał swoje łany kanałami godnemi Faraonów, a tak lubił mięczaki morskie, że ze skorup odrzuconych usypał pagórki. Ciekawy lud, ciekawy! Ale nigdy nie zgadniemy podobno w jakim stosunku stał on do teraźniejszych Indyanów, dla czego wygasł i czy szczątki jego istniały jeszcze, gdy pierwsi Europejczycy zaczęli szerzyć religię i cywilizacyę po Ameryce rzeziami, oszustwami i płomieniami inkwizycyi. Tyle wiemy o nim z pewnością, że nakształt niektórych azyatyckich i wschodnio europejskich plemion, miłował się w sypaniu mogił. Gdybyś pan pojechał kiedy na południe, mógłbym dać mu listy do przyjaciół archeologów, a pokazaliby ci zdumiewające roboty tego przedhistorycznego narodu. Lud w Kentucky i Tennesee nazywa je „grobami Pigmejczyków.“

Prędzej niż się spodziewałem, wypadło mi przypomnieć staruszkowi dane słowo. Dotrzymał go, dał listy, a jeden z nich wyjednał mi bardzo gościnne przyjęcie w plantacyi pod Lexington'em.

Gospodarstwo moi mieszkali w przestronnym, dwupiętrowym domu, pośród ogrodu, któremu liczne cyprysy i cedry nadawały włoską powierzchowność. Szerokie, cieniste werandy (ganki) otaczały dom dokoła, a kryte galerye łączyły go z dwoma mniejszemi budynkami, flankującemi go z każdej strony. Za czasów niewolniczych mieściły tę boczne domy niezliczoną służbę, lecz teraz stały pusto i okazywały ślady upadku. Główny gmach także omszał i poplamił się od wieku i zaniedbania, lecz ani zaciekał ani się pochylił. Ogród zarastał chwastami w częściach odleglejszych od domu. Stajnie i budynki gospodarskie po za ogrodem waliły się. Ten dwór plantatorski mógłby był niegdyś posłużyć pani Stove za model do opisu domostwa Saint Claire'a, ale dziś, odbieżony przez większą część służby, pozbawiony dziesięczno tysięcznej intraty, był typem upadku ogładzonej, szlachetnej, lecz niepraktycznej i niepostępowej arystokracyi plantatorskiej. Pomimo zubożenia nie straciła ona jednakże ogłady, gościnności przesadnej nawet, lekkomyślnej wesołości. *Sheriff* (woźny) mógłby stać pod werandą z egzekucyą, lecz państwo rozprawialiby wewnątrz o polityce, o zabytkach indyjskich, sztuce, o wszystkiem oprócz własnych intetesach; bawiliby i karmili mnóstwo gości, zmuszali szczątki służby murzyńskiej do czołobitności, chociażby jutro spodziewali się dnia sądnego.

Pan Brackett posiadał rozległe łany, zapuszczone jednakże krzakami, z powodu braku robocizny, oprócz części uprawianej przez kilkanaście rodzin murzyńskich, które nie uszły jeszcze do miasta. Właściciel dostarczał każdej rodzinie, co wiosna, muła, pług i zapas żywności (mąki kukurydzanej i solonej wieprzowiny) na pół roku, a w jesieni dostawał połowę zebranej bawełny. Cały ten tryb gospodarstwa odbywał się na kredyt, albowiem kupcy północni awansowali w zimie plantatorowie pieniądze potrzebne na muły, żywność, naprawę narzędzi i t. d., dostając w zastaw kwit na przyszłoroczne plony. Rozumie się, iż gospodarstwo tego rodzaju wycieńcza plantatorów lichwą, że pola wyplenieją się dla braku kapitałów na dreny, nawozy i t. p. Ponieważ murzyni zwykle marnotrawią przed wiosną swoje zasoby, więc na przednówku zapożyczają się powtórnie od plantatora, za co ten musi im liczyć ogromną lichwę, sam pożyczając na lichwę. Łatwo pojąć jak prędko ubożeją wszystkie warstwy w Kentucky w obec powyższych stosunków.

Dzień żaden nie upłynął podczas mego pobytu w wspomnionym domu bez wizyt sąsiadów, lub rewizyt. (hyba na Podolu, albo pomiędzy squire'ami angielskimi tolerują dotąd podobne najazdy sąsiedzkie. Gościnność południowa posiada też zaletę, że gość jest prawie zupełnie panem swojej woli. Wszyscy domownicy i obcy zbierają się przy śniadaniu. Przez resztę dnia bawią się wedle upodobania. Kto pragnie, aby gospodarstwo go bawili, zostaje przy gospodarstwie; młodzież wynosi się zwykle na świeże powietrze, celem rozrywek lub flirtacyi (palenia koperczaków). Przy obiedzie i wieczornej herbacie często połowa gości się nie zjawia. Słowem, bawiąc u pp. Brackett byłem wolny jak w hotelu; gdy pragnąłem wolności, mogłem stronić od ogniojadów, czyli rubaszniejszej części towarzystwa, a przyłączać się do rodzinnego koła, gdy składało się z dobranych osób. Pozycya pana Brackett, był

on- członkiem senatu w Kentucky, nie pozwalała mu odmawiać gościnności jakiemukolwiek białourodzonemu (co na Południu znaczy *bene natus*) gburowi, posiadającemu włókę plantacyi. Pani, dama w pełnem słowa znaczeniu, co bywała w Paryżu i w Rzymie, patrzyła na tych gości jak na upiory, niemiłe, ale nieuniknione.

Ludzie ci nudzili nas niepojęcie. Mógłbym powiedzieć, że trzech przeciętnych południowców nie może się zebrać w domu sąsiada, aby nie zmienić go w scenę sejmiku, aż nadto hałaśliwego. Spory zdarzają się często, a czasem kończą katastrofą. Uprzedzony w Cincinnati i ostrzeżony przez pp. Brackett unikałem licznych towarzystw i nigdy nie pozwalałem się wplątać w żadne dysputy polityczne, chociaż ciągniono mnie kilkakrotnie za język, i dotknięto żywo przycinkami o stronach, z których przybyłem.

Gdy dom przepełnił się ludźmi niesympatycznymi, błądziłem po okolicy, czasem z wędką, ryb tam mnóstwo, ze strzelbą, a częściej jeszcze z łukiem. Pan Brackett lubił nadzwyczaj kunszt średniowiecznego strzelania z łuku, i prezydował w klubie łuczników w Kentucky. Nie jeden dobry strzelec europejski chybiłby zwierzynę w oddaleniu, w którem tutejsi łucznicy zabijają ptactwo, zające i wiewiórki lotnemi strzałami. Chociaż krótkość czasu nie pozwoliła mi nabyć wprawy w tej igraszce, oddawałem się jej z zapałem; wymaga on oka trafnego, ćwiczy muskuły, nie płoszy zwierza; brzęk cięciwy i gwizd strzały tworzy miły akompaniament przy niej, a wprawny strzelec sięgnie równie daleko łukiem jak dubeltówką. Słowem, polowanie ze strzelbą nie może równać się z łucznictwem pod względem romantyczności.

Wspomniałem, że w sąsiedztwie plantacyi pana Brackett istnieją ciekawe i doskonale przechowane szczątki przedhistorycznego grodu. Zwiedziłem je dokładnie, lecz nie opisuję, gdyż przypominają inne, które zwiedziłem później w Tennesze i zamierzam opisać, jako najdoskonalszy wzór tego rodzaju zabytków, zwiedzonych w mojej podróży.

Podczas jednej z takich wycieczek z plantacyi odwiedziłem pałacyk, w którym żył Henryk *Clay*, chluba Kentucky, jeden z największych mężów stanu i mówców urodzonych w Ameryce. Dzieci zaatlantyckie uczą na pamięć ustępów z jego mów, jako wzory stylu. Był on *whig'iem*, czyli nieprzyjacielem zasady, co dała Południowcom podstawę do wojny domowej, utrzymującej jakoby każdy stan niezadowolony z Unii mógł oderwać się od niej. Był też liberalnym, ale liberalnym południowcem. Walcząc w kongresie o reformy dla białych klas roboczych, wychowywał na swojej plantacyi tęgich murzynów i mulatki nadobne, do roboty i zabawy dla bogatych plantatorów dalej na południu, gdzie skutkiem klimatu nie wiodło się mnożenie dwunożnych zwierząt domowych. Kentucky dostarczało tym panom parobków i odalisek. Miasto Lexington postawiło piękny pomnik „najcelniejszemu synowi Kentucky" Clay'owi.

Powracając z platacyi Clay'a musiałem wstąpić do karczemki przy drodze, gdyż zmrok zapadł, a cała obca mi okolica otuliła się misterną zasłoną, tak że nie mogłem poznać miejsc i drożyn. Wstąpiłem więc po przewodnika. Dano mi murzyna. Wychodziłem z nim właśnie, gdy zaturkotały koła eleganckiego powoziku. Jegomość nie o wiele ciemniejszej cery ode mnie odezwał się z niego, błagając o przytułek na noc, gdyż koń był znużony do ostateczności. Pan ten — murzyński lekarz z Lexington'u, powracał od chorych, jednakże odprawiono go od tej nędznej karczmy, polecając mu inną, o parę staj odległą, utrzymywaną przez murzyna dla „kolorowych gentleman'ów" tak nazywają w Ameryce ludzi, w których żyłach płynie chociażby kropla krwi afrykańskiej. Lekarz groził gospodarzowi, że go zaskarży, gdyż najnowsze prawa amerykańskie zabraniają pod surową karą wykluczania murzynów z miejsc publicznych. Gospodarz uśmiechnął się i zapytał go, gdzie znajdzie przysięgłych, którzyby wydali wyrok winy na osobę łamiącą te prawa? Lekarz westchnął i odjechał, do murzyńskiej karczmy, podobnej do chlewa. Gospodarz zapewniał mnie, iż człowiek ten jest biegłym w swojej sztuce i posiada majątek, ale musiał mu odmówić gościnności, gdyż żaden biały sąsiad nie zajrzałby do gospody, co przyjęła „nigra."

Nazajutrz wybrałem się na zwiady, ze służącym murzynem, którego pan Brackett dodał mi na straż przyboczną, do wioski robotników, uprawiających plantacyę. Ludzie ci przyjęli mnie z pewnem podejrzeniem, czy też nie przychodzę z jaką egzekucyą, albo w zamiarze straszenia ich, za niebacznie wypowiedziane polityczne zdania. Skoro się jednak dowiedzieli, że przybywam z Północy, nie mogli się mną nacieszyć, sądząc, iż jestem ajentem stronnictwa republikańskiego, przysłanym celem dodania im otuchy. Nie rozczarowywałem ich, chcąc poznać wnętrza chat i tryb ich życia. Byłato niedziela. Czarni starcy z białemi kudłami siedzieli na progach, a każdy z nich mógłby był zdać się na portret wuja Tomasza.

Dzieci tarzające się w gnoju przypomniały brzydotę nieśmiertelnej Topsy. W najlepszej chacie poprosiłem o posiłek, dając głowie rodziny pół dolara, przyjął go i przedstawił mnie żonie, czarniejszej od smoły, dygającej, szczerzącej białe zęby i tak zawracającej oczy, że tylko białka świeciły ku mnie, promieniami strzelającemi w przerażający sposób z ciemnego oblicza. Odpędzając dziecię kryjące się za fartuszkiem, zabrała się do mielenia kukurydzy na żarnach, praca ta powtarza się trzy razy na dzień w domach tych ludzi, gdyż nigdy nie mielą więcej, niż naraz zjeść mogą, wedle drogiej sobie zasady, że Ojciec Niebieski pamięta o jutrze.

(*d. c. n.*)

WEZBRANE WODY.

Przekład z angielskiego

PRZEZ

W. Z. Kościałkowską.

Nigdy lepiej jak przy odpływie morza nie uwydatniała się dzika posępność rozległego krajobrazu Dedlow March. Gąbczaste nizkie grunta jego okrywały tu i owdzie mętne kałuże. Zbiegłe wody pozostawiały po sobie kręte bruzdy ze śluzową barwą i wonią. Roślinność karłowata, rzadkie i nędzne źdźbła trawy, nosiły tu cechy ziemnowodnych tworów ślizkich i wilgotnych jakkolwiek monotonna płaszczyzna krajobrazu nie rozbudzała wyobraźni; zbrużdżona jej powierzchnia przypominała obrazy wylewów i klęsk, a chociaż na niebie najpiękniejsza jaśniała pogoda, ziemia sprawiała tu wrażenie zgnębienia i pustki. Nawet łąka zieleniejąca kędyś w głębi widnokręgu, zagrożona wiecznie wylewem napastniczego żywiołu, nie śmiała jakby rozwijać bogatszej roślinności, a śród niej na nizkich krzaczkach czerwieniejące jagody brusznicy, wychylały się skrzepłe i ścierpłe z pod oblewających je w prawidłowych odstępach czasu, zimnych prądów wody.

I nie sam wzrok tylko rażonym tu bywał niemile Cmentarny jęk bąka, żałosne wołanie kulika, mieszające się ze swarliwą wrzawą cyranek; hukanie żórawi i urywany krzyk siewki, uderzały słuch smętnemi odgłosami, zlewającemi się w jeden chóralny akord skargi i bólu. Smętnie też wyglądało to błotne i wodne ptastwo. Żóraw niebacznie brodzący po wodach, bez względu na zamoczenie swych wysokich nóg, żałobny kulik, żałośliwa siewka, posępny bekas, który z samobójczemi, zda się, zamiarami, przechadzał się samotnie nad mętną kałużą, zimorodek, wiecznie jakby zadumany nad zgubą swej ojczyzny i czarnopióry kruk w wieczystej wędrówce szukający śladów ubiegłych wód, wszystko to miało pozór opuszczenia, zrozpaczenia, tęsknego wyczekiwania chwili odlotu z tych miejsc złowrogich.

Jeśli miejsca te podobnie ponury przedstawiały widok gdy morze odpływało, cóż dopiero musiało się tu dziać w czasie jego przypływu? Co się tu dziać musiało wtedy, gdy wszystko co zwróconem było ku morzu chłostały zimne, wilgotne powiewy, zwiastuny nadbiegającej fali, gdy cały pustynny obraz połyskiwał stalową barwą, a z głębi wzruszonych do dna błotnisk, niby widma tajemniczą siłą z mogił wydźwigane, wychylały się na powierzchnię grube pnie drzew okryte muszlami i szlamem, i jak wieczny tułacz z legendy, odbywały po raz setny i tysiączny zapewne, bezcelową wędrówkę po zaklętem kole ruchliwego żywiołu. Co się tu dziać musiało, gdy lśniące grzbiety kaczek przesuwały się cicho po wzdętych strumieniach, a nieprzejrzyste zasłony mgieł rozpościerały się pomiędzy niebem, a tem ruchomem, szemrzącem, szklistem czemś, co przed chwilą jeszcze nazywało się lądem. Wówczas, we mgłach znikały resztki zieleni widniejące na głębiach krajobrazu, a żeglarze porąc mgłę wiosłami, wsłuchani w ciche szmery i dziwne szelesty, wzdrygający się na widok wlokących się za łodzią, do włosów topielicy podobnych pasem obmokłego zielska, z przerażeniem spostrzegali że błądzą po Dedlow March i godzić się musieli z niewesołą perspektywą spędzenia w przeklętej miejscowości, długiej, zimnej nocy. Wówczas cały ten, zawsze ponury krajobraz, przybierał w całej rozciągłości pozór dzikiej pustyni.

Zdarzenie, które zamierzam opowiedzieć czytelnikom, miało za tło ów właśnie powyżej opisany krajobraz Dedlow March w czasie przypływu morza. Odkąd zasłyszałem o nim, zawsze już gdym ze strzelbą na ramieniu przebywał błotnistą tę okolicę, w myśli stawał mi z całą swą grozą, ów dramat straszny, opisywany we właściwym czasie przez wszystkie dzienniki krajowe, a którego opowiadanie słyszałem był z ust głównej jego bohaterki. Nie potrafię dorównać patetyczności i poezyi właściwej ustom kobiecym, ale postaram się przynajmniej podzielić się z czytelnikami treścią wydarzenia.

Kobieta owa zamieszkiwała małą chatkę wyniesioną nad poziom kamiennem podmurowaniem. Z jednej strony chatki rozciągało się płytkie wybrzeże Dedlow March, z drugiej szumiała szeroka rzeka, mająca ujście do Oceanu Spokojnego, o mil cztery dalej na piaszczystym półwyspie wyginającym południowo zachodnie wybrzeże pięknej zatoki. Na trzy mile dokoła nie było innych pomieszkań ludzkich, chatka stała samotna wśród bezludnej przestrzeni. Mąż kobiety był drwalem. Rzemiosło to jest wcale korzystne tam, gdzie jedyną gałęź przemysłu stanowi wyrabianie krokwi i desek. Było to na przedwiośniu. Drwal szedł spławiać z innymi tratwy na południową stronę zatoki. Stając w progu chatki kobieta rozpatrywała chmury przybywające ze strony południowo-wschodniej widnokręgu, wiatr wiał chłodny, a mąż jej mówił towarzyszom,

że spieszyć się powinni jeśli chcą przybyć na przeznaczone miejsce przed burzą, na którą się zanosiło. Odpłynęli. Istotnie też nocy tej zerwał się straszny wicher, straszniejszy niż bywał kiedykolwiek za jej pamięci. Słyszała jak drzewa skrzypiały i padały z łoskotem na ziemię, a mała jej chatka chwiała się na swem podmurowaniu zupełnie tak jak zawieszona na sznurach kołyska jej dziecka.

Spokojną jednak była i na myśl jej nie przyszło lękać się czegokolwiek. Gdyby groziło jej niebezpieczeństwo, mąż by ją nie zostawił tak samą jedną. Myśl ta, domowe zajęcia i pielęgnowanie chorego dziecka, oderwały uwagę jej od burzy coraz to wzmagającej się na dworze: przytem miała nadzieję, że mąż jej z ładunkiem wcześnie i szczęśliwie zawinął do portu. Tylko gdy wyszła z domu aby ptactwo do zagrody zapędzić i wydoić krowę, spostrzegła, że wody podpłynęły pod sam prawie jej ogródek i usłyszała huk fali w zatoce, o kilka mil oddalonej. Myślała też że dobrze byłoby mieć przy sobie żywą jaką duszę, aby porozmawiać z nią trochę i że gdyby noc była mniej ciemną, a wicher nie tak straszny i dziecko nie tak ochrzypłe i kwilące, poszłaby do Ryksmanowej, najbliższej swej, o trzy mile mieszkającej sąsiadki. Tylko że mąż mógł lada chwilę wrócić przemokły i zziębnięty, źle byłoby aby znalazł chatę pustą.

Sama nie wiedziała dla czego, ale nie mogła długo zasnąć tego wieczoru. Ogarniał ją jakiś niewytłomaczony niepokój i chociaż na dworze ucichło nieco, ona siedziała i siedziała. Probowała czytać pismo święte albo jaką mniej pobożną jakąś historyę, ale litery i słowa wirowały bezładnie przed jej oczami, aż nakoniec zwróciła się do żywej księgi, spoczywającej w kołysce, o białych, życiem nie zapisanych jeszcze kartach. Myślała co przeznaczenie wyryje na nich, myślała o dalekiej przyszłości i o wielu, wielu innych rzeczach, a sen jak nie chciał tak nie chciał kleić jej powiek. Musiała już być druga po północy kiedy położyła się nie zdejmując z siebie odzieży. Jak długo spała nie wie. Gdy się przebudziła ze snu ciężkiego, stała na środku izdebki tuląc do łona dziecię, cała drżąca i przerażona. Dziecko też płakało, chodząc tedy po izbie tam i napowrót uspakajała je jak mogła. U drzwi dał się słyszeć szelest. Nie myśląc już o powrocie tej nocy męża, z bojaźnią drzwi uchyliła. Był to Pete, stare, poczciwe, domowe psisko. Zmoczony, zbiedzony przyczołgał się do komina. Żałowała że nie popatrzyła co się na dworze dzieje, ale wiatr wyrwał jej z rąk drzwi i zatrzasnął je gwałtownie. Posiedziała trochę jeszcze, pochodziła trochę, potem położyła się znowu. Leżąc tak przy samej ścianie, słyszała zewnątrz szmery podobne do ocierania się gałęzi o ściany chaty i ciągły szmer pluskającej wody. Porwała się z łóżka. Przez szczelinę w posadzce sączyło się coś wązką na palec strugą i zanim wstała wezbrało na szerokość dłoni. Pochyliła się własnym nie wierząc oczom — woda to była.

Pobiegła do drzwi frontowych, otworzyła je i spojrzała — wszędzie woda! Pobiegła do drzwi tylnych, otworzyła je, spojrzała — wszędzie woda! Do okna — woda! Przypomniała sobie, że mąż jej mówił, jakoby przypływ morza, którego trwanie daje się obrachować, mniej był strasznym od nieobrachowanych wezbrań i wylewów rzeki. Wyrzuciła tedy przeze drzwi kawał drzewa; popłynęło ku zatoce. Zaczerpnęła wody w dłonie i chciwie ją do ust poniosła — woda była świeża, słodka, rzeczna.

Wówczas... O! niech nieskończone będą dzięki Wszechmocnemu, który w nieprzebranem swem miłosierdziu nie opuścił jej w tej okropnej chwili i podtrzymał słabe jej siły; opadł z niej strach wszelki jakby znoszone suknie, przestała drżeć i przez całe trwanie tej strasznej próby, przez całą tę wieczystą noc rozpaczy, zachowała przytomność umysłu.

Wówczas wysunęła łóżko na środek izby, umieściła na niem stół, na stole postawiła kołyskę z dzieckiem. Woda dochodziła już jej do kolan, a chatka zachwiała się parę razy z taką gwałtownością, że drzwi otworzyły się na oścież. Znowu usłyszała tarcie się czegoś o ściany i spojrzawszy przez otwarte drzwi dostrzegła olbrzymi pień drzewa, który rano leżał na przeciwległym końcu łąki, a który teraz woda niosła wprost na chatkę. Szczęściem długie gałęzie i korzenie tamowały siłę prądu, inaczej nicby nie pomogły windy i pale, chatka rozpadłaby się jak domek z kart pod uderzeniem olbrzyma. Pies wskoczył na sękowaty nad wodą wystający pień i drżący cały skowycząc przypadł do gałęzi! Kobiecie błysnęła nadzieja zbawienna. Owinęła dziecię w najgrubszą kołdrę, po pas weszła w wodę, pochwyciwszy jedną z gałęzi, za przykładem psa wdrapała się po śliskiej korze na drzewo. Jedną ręką uczepiła się gałęzi, drugą podnosiła dziecko; w tej samej prawie chwili rozległ się trzask i frontowa ściana chatki runęła druzgocąc pozostałe wewnątrz sprzęty. Jednocześnie drzewo na którym zawisła, uniesione szybszym prądem odpłynęło dalej. Nieprzejrzysta noc panowała do koła.

Mimo przerażenie swe, niepewność i niebezpieczeństwo położenia śród chwiejących się i z każdą chwilą mogących w wodę zanurzyć się gałęzi, odwróciła się by po raz ostatni spojrzeć na swą chatkę. Dziwna to była rzecz że mogła o tem myśleć w tej chwili, ale pożałowała że nie włożyła przynajmniej na siebie najlepszej swej odzieży: potem zaczęła modlić się gorąco, prosząc Boga aby mąż jej gdy wróci, zastał choć ślad swego domostwa. Czy też dowie się on kiedy co się stało z nią i z dzieckiem? Niedługo nad tem rozmyślała, obecna chwila pochłonęła jej uwagę, arka zbawienia chwiała się porywana sprzecznemi wiry. Pies niepokoił się, czołgał, skowyczał, aż spadł nieborak strącony silniejszem wstrząśnieniem. Wciągnęłaby go napowrót, cóż, kiedy biedne zwierzę zupełnie straciło głowę, odpłynęło od niej — i już nie wróciło. Została tedy sama jedna, z dzieckiem, pośród powodzi i nocy. Światło błyszczące czas jakiś w dali, w jej opuszczonej chatce, zagasło. Nie wiedziała gdzie ją niosą wzburzone fale. W oddali znikały bielejące zrazu słabo wybrzeża półwyspu i zdawało się jej, jak gdyby wody niosły drzewo na którem płynęła w kierunku upływu rzeki ku morzu. Musiała rzeczywiście znajdować się wówczas na wirach powstałych ze starcia się dwóch prądów: rzecznego i morskiego. Rozumiała że jeśliby przypływ zaczął opadać nim ją pochłoną fale morskie, lub nim miejsce ochrony jej rozbije się między dwoma prądami, znalazłaby przystań na górzystym wybrzeżu półwyspu i mogłaby tam doczekać opóźniającego się śmiertelnie świtu. Niekiedy zdawało się jej że słyszy w oddali wystrzały, ryk bydła i beczenie trzody. Nie, to tylko jej serce kołatało tak w piersi głośno, to własne myśli jej tak dzwoniły w jej uszach. Zziębłą była, skostniałą; trzymająca gałęź ręka jej zdrętwiała. W tem dziecko zapłakało boleśniej. Chciała użyć zwykłego sposobu ukojenia i podała mu pierś swą... Wielki Boże! pokarm się zatrzymał! Wtedy ogarnęła ją rozpacz, ukryła twarz w kołdrze i zapłakała gorzko.

Gdy podniosła głowę spienione fale jak białe żagle owijały ją zewsząd. Drzewo jej płynęło w innym już kierunku. Wciągnęła do spieczonych ust trochę wody tak słonej i gorzkiej jak łzy spływające po jej twarzy. Błysnął jej słaby promień nadziei. Choć unoszące ją drzewo spływało ku morzu, wiatr ucichł, cisza, grobowa cisza zaległa do koła, słychać było plusk wody prześlizgającej się po chropowatem pniu drzewa, zresztą wszystko dokoła było głuchą ciszą i nieprzejrzystą nocą. Aby tę ciszę przerwać i przekonać się że głos jej nie zamarł w piersiach przemówiła głośno do dziecka. Myślała wówczas — dziwna rzecz, że o tem lub o czemkolwiek myśleć mogła, jak okropną musiała być noc w której arka Noego zatrzymała się na szczycie Araratu, po nad światem zalanym powszechną powodzią. Myślała o rozbitkach czepiających się za odłamy skał i o tych nieszczęsnych ofiarach, które rozbiły i pochłonęły rozhukane fale. Chciała podziękować Wszechmocnej, czuwającej nad nią Opatrzności i wzniosła oczy w niebo. Ku południowi, w oddali, błyskało wielkie światło, błyskało, to znów gasło, to znowu wybuchało wielkim płomieniem. Na ten widok silniej przytuliła do gwałtownie bijącego swego serca zimną twarzyczkę dziecka, poznała bowiem morską latarnię wznoszącą się nad samą zatoką. Jednocześnie jej drzewo zwolniło biegu, okręciło się parę razy i osiadło na miejscu — dotknęło lądu. Wnosząc z kierunku w którym świeciła latarnia, był to ląd Dedlow March.

Gdyby dziecię nie kwiliło w tak rozdzierający sposób i gdyby mogła je nakarmić uważałaby się za zbawioną, ale tak, czuła się okropnie smutną i opuszczoną. Wody opadały szybko. Wielkie stada ptaków unosiły się w powietrzu, wrzeszcząc i bijąc skrzydłami spuszczały się jak skraje szarej chmury na jej drzewo. Siewka przeleciała kwiląc żałośnie, czapla krążyła długo aż także opuściła się i usiadła w jej sąsiedztwie. Ale co najdziwniejsza, to że przyleciał tam piękny jakiś biały ptak, większy od gołębicy, do pelikana podobny, ale nie pelikan, usiadł na gałęzi tuż nad jej ramieniem i nie odleciał, chociaż głaskała jego śnieżne, puszyste pióra. Chciała zabawić nim dziecię, ale było ono sztywne i zimne całe i nie chciało podjąć ociężałych powiek a twarzyczkę miało siną... Krzyknęła biedna matka, ptak spłoszony odleciał wówczas i ona też musiała zemdleć bo nie wie już co działo się potem.

Kiedy wróciła do przytomności, słońce wysoko świeciło na niebie, leżała przy dużym ognisku wzniesionym na trzęsawisku Dedlow March, uderzyły ją przede wszystkiem niezrozumiałe gardlane dźwięki. Stara Indyanka kołysząc się z boku na bok śpiewała, widząc przed ogniem narodowe „husbady.“ Pierwszą myślą wracającej do przytomności matki było jej dziecko. Druga Indyanka młodsza od pierwszej odgadła ją i ukazała bardzo dziwaczną z łozy splecioną kobiałkę, w której obok małych Indyaniąt spoczywało jej własne, rodzone dziecię, bledziuchne lecz żywe chwała Bogu. Na ten widok zaczęła śmiać się i płakać zarazem i dziękować Najwyższemu za cudowne ocalenie. Indyanki śmiały się też połyskując białemi zębami tak poczciwie, że chciałaby ucałować ich ciemne twarze. Dowiedziała się od nich jak z brzaskiem dnia, zbierając na bagnach jagody, ujrzały na pływającem drzewie zawieszone barwne szaty. Starsza kobieta przynęcona tym widokiem pogoniła za zdobyczą i tym sposobem w gałęziach drzewa znalazły zemdlałą kobietę i dziecko. Naturalnie darowała ona starej Indyance suknie które ją przynęciły.

Nakoniec przybył jej mąż. Wyglądał starszy o lat dziesięć, a ujrzawszy go kobieta osłabła znowu ze szczęścia tą razą i musieli na rękach nieść ją do czółna. Nie wiedział on nic o powodzi, dopiero spotkawszy w Utopii okolicznych Indyan, dowiedział się od nich o wszystkiem co zaszło i zrozu-

miał że uratowana kobieta z dzieckiem, to jego żona i jego dziecię.

Z następnym przypływem drwal przyholował drzewo na którem ratowała się w powodzi jego rodzina, i choć niewiele już było ono warte, użył je na podwaliny do nowej chatki, którą od imienia żony nazwał *arką Mary*. Naturalnie, nową siedzibę wzniósł dalej już, tam gdzie morze nie rościło starych praw do stałego lądu.

I oto wszystko. Bardzo mało zapewne, jeśli weźmiemy w uwagę szczególne położenie i złośliwą przyrodę Dedlow March. Trzeba samemu brodzić po tych wilgotnych moczarach, wiosłować wśród śluzowatego zielska, pruć przypływające fale, błądzić wśród mgły gęstej, jak to mi się nieraz zdarzało, aby zrozumieć całą grozę obudzoną opowiadaniem Mary i ocenić należycie korzyści zamieszkiwania okolic mniej narażonych na nieustanną walkę lądu z morzem.

Przegląd literacki.

Powieści Kraszewskiego: Krzyżacy; Powrót do gniazda; Historya o Janaszu Korczaku i pięknej miecznikównie; Ostatnie chwile księcia wojewody. (Drukowane w Warszawie 1875 r.)

Niezmordowany tytan naszej literatury powieściowej, w obecnym czasie przypomniał sobie ubiegły dawno okres swojej działalności gdy stworzył „Zygmuntowskie Czasy“ i całym szeregiem prac sięgnął znowu w przyszłość historyczną. Powieść historyczna, zaniedbana od pewnego czasu wraz z historyą lub też może przewyższająca siły młodszej generacyi popisującej się dziś na niwie powieściopisarskiej gwoli potrzebom wiecznie łaknącej tego pokarmu publiczności — powieść historyczna odżyła pod piórem Kraszewskiego — jednego z przerzedzonego już bardzo szeregu.

W kilku najnowszych utworach swoich Kraszewski sięgnął do dziejów ubiegłych, począwszy od wieku XV i aż do XVIII i na tle historycznem owych czasów wysnuł i, mamy nadzieję, wysnuje jeszcze niejedną powieść mistrzowską. O tych to właśnie kilku utworach chcemy pomówić z czytelnikami.

Pierwszą w tym szeregu była powieść „Krzyżacy“ osnuta na tle zapasów Jagiełły z zakonem krzyżackim, nosząca obok tytułu rok 1410 — datę pamiętnej, choć niemal bezowocnej klęski pod Grünwaldem. Nie rościmy sobie prawa przenikać tajniki twórczości autorskiej, takiego zwłaszcza autora jak Kraszewski, i stawiać przypuszczenia, dla czego wybrał on ten lub ów przedmiot do powieści? Mniemamy jednak, że ciążąca dziś nad Europą, a zwłaszcza nad plemieniem germańskiem, przemoc germanizmu skłoniła pisarza do wywołania tego obrazu przeszłości. Tym sposobem autor poruszył stronę żywotną, ubocznie dotknął kwestyi starej, a jednak wciąż żyjącej i nowej, potrafił dać niejedną lekcyę psychologiczną czytelnikowi i dał niemało do myślenia historykom i badaczom. Na tem tle wielkich wypadków dziejowych, których skutki dodatnie i ujemne, których bezowocność przyniosły rozmaite skutki późniejszym wiekom i pokoleniom, dzieje osób prywatnych — bohaterów i bohaterek urojonych, niemal znikają, a przynajmniej tak maleją, że stanowczo odchodzą na dalszy plan. Czytelnika zajmują tylko obrazy i wypadki dziejowe, tylko bohaterowie historyczni, a reszta — to tylko dodatek o tyle niezbędny, o ile utwor historyczny miał być powieścią. Istotnie osoby fikcyjne, w tem dziele występujące, o ile nie występują na szerszej scenie dziejowej i nie są wplątane w olbrzymie wypadki historyczne, są mało znaczące jak i niezbędny w powieści, a tą razą przez Kraszewskiego z widocznem lekceważeniem i jakby niechętnie traktowany żywioł romansowy, serdeczne koleje i związki.

Olbrzymie przygotowania zakonu, Jagiełły i Witolda do wojny odmalowane są z zamiłowaniem w obszernym obrazie, opartym na głębokich i gruntownych studyach źródłowych. Uzbrojenie ciągnących hufców, tabory, obozowiska, wrzawa wojenna, utarczki podjazdowe i oblężenia, życie obozowe z jego karnością i niesfornością, utrudnienia, zabawy i rozprawy wojowników, wszystko to, wraz z niepoównanem, znanem oddawna mistrzowstwem Kraszewskiego w opisach przyrody celuje obrazowością. Autor, jak Homer, nie pomija częstokroć drobnych napozór, lecz charakterystycznych szczegółów. Męztwo w pierwszym zapędzie, brak wytrwałości, oglądanie się na interesa prywatne, zarody samowoli i niesforności, nawet przystępność intrygom i obcym wpływom — wszystkie te cechy ujemne publicznej i wojennej działalności przodków naszych w następnych stóleciach — w zarodach swych już w wieku XV zostały przez autora pochwycone i przedstawione po mistrzowsku. Brochocki wyróżnia się od innych wielu panów i wodzów, jako rycerz prawy, Jagiełło przedstawia się, zgodnie z historyą, jako bardzo gorliwy, bo niedawno jeszcze nawrócony, nieco nawet przesądny chrześcianin, często wahający się i podejrzliwy; Witold występuje jako ambitny i przystępny czeskim i krzyżackim intrygom.

Naczelnicy zakonu krzyżackiego świecą i w powieści, jak w dziejach, charakterem obłudnym, butą i pychą niechrześciańską, żądzą panowania, umiejętnością używania życia i nieprzebieraniem w środkach, mających prowadzić do raz wytkniętego, choćby niezbyt chwalebnego czynu. Pod pozorem, że Jagiełło jest w duszy jeszcze poganinem, Krzyżacy nie pozwalali nikomu nawet dobrze wspomnieć o tym królu, a podkomorzy zakonu próbował nawet, używając za narzędzie pięknej Torunianki Ofki, zakonowi oddanej, otruć Jagiełłę.

Wiadomo z historyi, że zwycięztwo Grünwaldzkie było niemal bezowocnem, jak również mało pożytku dla Rzeczypospolitej przyniósł późniejszy traktat Toruński i nie przeszkodziło to późniejszym traktatom Oliwskim i dalszym działaniom Brandenburczyków. Po ukończeniu mistrzowskiego opisu tej bitwy, interes czytelnika słabnie. Autor doprowadza powieść do końca, wyprawiając na wędrówkę świątobliwego księdza Jana, opisując biesiady toruńskie pięknej Noskowej, porwanie przez niemieckiego rycerza owej demonicznej Ofki, wreszcie powtórne porwanie przez tego córki Brochockiego. I tutaj Niemiec, choć początkowo zwyciężony i jeniec wojenny Brochockiego, tryumfuje w końcu podstępem i przemocą. Druga połowa powieści w ogóle nie harmonizuje z pierwszą i czytelnik przy końcu uczuwa pewny dysonans w duszy i niezadowolnienie, ale z tego nie tylko że nie czynimy zarzutu Kraszewskiemu, lecz mniemamy owszem, ze dysonans ten, z natury dziejowych wypadków, niemal bezowocnych, wypływający, z umysłem autor sprawił.

Przechodzimy teraz do XVI stulecia, na tle którego osnuta druga powieść Kraszewskiego „Powrót do gniazda“ wzięta z dziejów reformacyi w Polsce. Powraca do gniazda ojczystego z Wittenbergi młody wojewodzic Janusz, który zagranicą zachwycił modnych nowinek religijnych, a także zapłonął miłością ku nadobnej Frydzie, córce złotnika. Ojciec Janusza, surowy wojewoda, wiedział o skłonności syna do protestantyzmu i za powrotem, pomimo wstawienia się matki, zamyka go do lochu. Stary wojewoda jest uosobieniem konserwatyzmu surowego i nieubłaganego: stoi on na straży wiary i obyczaju przodków, przestrzega zarówno nietykalności powagi i władzy ojcowskiej. Młody Janusz ucieka do stryja: ten brat wojewody tytułowany Pisarzem, jest zupełnem przeciwieństwem wojewody: żywy i płochy pomimo wieku, niestały, chętnie przychylający się do nowinek religijnych, to znowu wracający na łono kościoła, gdy mu dokuczą rozmaici apostołowie i awanturnicy, zbierający się w jego domu, jak w oberży. Z pomiędzy tych apostołów reformy wybornie skreśleni: kolega Janusza Tilius, który przybył do Polski, szukając chleba i z apostolstwa radby, zwyczajnie jak Niemiec, zrobić sobie rzemiosło, tak dobre, jak każde inne: dalej eks-ksiądz Zaranek i cała gromada jego gości, wybornie naszkicowanych, do których należą zbiegli mnisi, mniszki i t. d. którym bardziej chodzi o nasycenie żołądka i inne żądze niż o jakąbądź religią. Strapienie z powodu Janusza wtrąca do grobu jego matkę wojewodzinę, a wkrótce i samego wojewodę; głową rodziny zostaje pan Pisarz, który wraca stanowczo na łono kościoła, lecz zawsze pobłażliwszy w materyi wiary, staje się nieubłaganym obrońcą dumy narodowej i tradycyi szlacheckich: o związku Janusza z Frydą, pomimo uszlachcenia jej ojca przez cesarza, ani słyszeć nie chce, a gdy Janusz opiera się przy swojem i religii zmienić nie chce, Pisarz zgodnie z wolą zmarłego wojewody, oddaje pozostawiony przez ostatniego majątek kościołom i na cele dobroczynne. Janusz tuła się po obczyznie, żeni się tam z Frydą, a jego syn pojawia się później w Polsce, jako rzemieślnik wędrowny.

(*d. n*).

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Jadwidze P. w Podlesie. Powieści żądane mamy w całym komplecie tylko nam brak Nr 25 i 26 w których obie zaczęły się. Możnaby kazać przepisać. Przyjaciel niezmiernie się ucieszył doniesieniem, iż pismem swem tak zbawienny wpływ wywiera na młodych czytelników.

Pani M. M. w Witebsku. Pani Eliza Orzeszkowa mieszka w Grodnie i tam należy listy adresować.

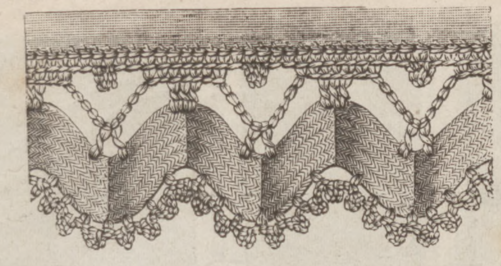
Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami i ćwiartka z dokończeniem opisów rycin.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Октября (8 Ноября) 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 45.

(Dal. ciąg).

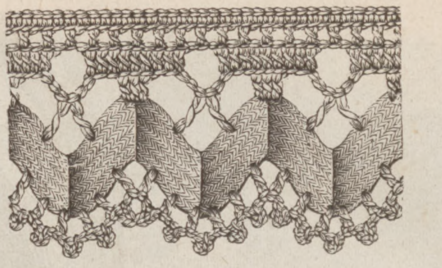


N. 1. Ząbki z szerokiej tasiemki obrobionej szydełkiem.

N. 16. Suknia princesse z odwiniętym z boków trenem. Elegancki i w zupełnie nowym guście układ tej sukni nadaje się tylko do ciężkich jedwabnych materyi. Przody i boki podpięte od dołu muszą być dopełnione oddzielnemi częściami, w ten sposób iż suknia z przodu tworzy jakby vêtement oszyte frendzlą jedwabną ze sznelą, albo też plisowaniem. Tren sukni złożony w wielkie fałdy dodany jest do gładko leżących pleców princesse, jeżeli zaś ma tworzyć z nimi jedną całość to trzeba wycinać zbywającą w plecach od fałd trenu szerokość. Boki trenu ułożone w fałdy wachlarzowe, spięte u góry wielką kokardą dodane są oddzielnie Potrzeba na nie materyi złożonej podwójnie albo podszytej atłasem tego co suknia koloru, z którego jest już i kokarda. Dolny brzeg stanu zdobi szeroka riusza układana w kontrafałdy, z nagłówkiem z obu brzegów; boczne fałdowanie zakończone jest plisowaniem.



N. 3—4. Suknie princesse dekoltowane. Patrz ryc. 5—6.



N. 2. Ząbki z szerokiej tasiemki obrobionej szydełkiem.

piętej nakształt draperyi brzegiem stanika i tworzącej z nim vêtement. Potrzeba na nią poprzecznie wziętego bryta materyału 250 cent. długości, który składa się podług odpowiednich liter i przy prostym brzegu (stanowiącym tylny środek tuniki) fałduje do 50 cent. długości na 27 cent. odstępu od dołu. Górny brzeg złożony od o—p w fałdę 19 cent. szeroką, zaszytą z brzegu, dalej od q—r na 50 cent. wzdłuż przyczepia się do dolnego brzegu stanika, z jednej strony stale, z drugiej do zapinania na haftki; w miejscu oznaczonem literą *r* dane jest parę fałd oznaczonych kropkami i krzyżykami oba końce górnego brzega na 33 cent. z każdej strony, zostają puszczone wolno. Na zaokrąglonym końcu tuniki, stanowiących po upięciu draperyi brzeg dolny, naszyty jest skos aksamitny 60 cent. szeroki, 130 długi, ścięty z boków do 58 cent. górnej szerokości, przefałdowany wraz z tuniką do 14 cent. w miejscu oznaczonem liniją kropkowaną. Po nad przefałdowaniem, po upięciu draperyi przechodzi oddzielny skos aksamitny 42 cent. długi a 50 szeroki, w jednym końcu przyszyty do stanika w drugim przytwierdzony na tunice kokardą ze sznura zakończonego wielkiemi szmuklerskiemi grelotkami. Stanik (z przodu 62 cent. długi) zapięty z przodu na haftki ma dodany oryginalny aksamitny napierśnik, z podłużnym wykrojem i ranwersem w górze 16, na ramionach po 6 cent. szeroki, u dołu ma formę szpiczastego bawetu. Oszycie z piór liczy 6 cent. szerokości.



N. 7. Kapelusz filcowy.



N. 9. Pantofel. Robota na drutach. Patrz ryc. 10 i 26.



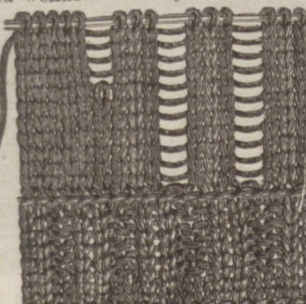
N. 8. Kapelusz ze skóry.

N. 17—18. Suknia z długim stanikiem i tuniką nakształt draperyi. Wskazanie kroju tuniki na arkuszu N. IX. Fig. 33.

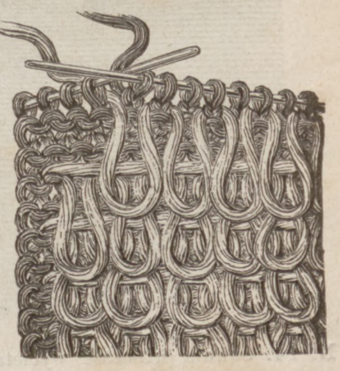
Rycina 17 przedstawia suknię z jasnej materyi i wełnianego materyału, stosowną na wieczorne wizyty; rycina 18 przedstawia suknię z materyału wełnianego i aksamitu odpowiednią na spacery i wizyty w ciągu dnia. Fig. 33 na arkuszu z krojami załącza wskazanie kroju tuniki u-



N. 5—6. Suknie princesse dekoltowane. Patrz ryc. 3—4. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—6-a.



N. 11. Robota na drutach do pończochy ryc. 12 w N-rze 44.



N. 10. Wewnętrzna strona roboty na drutach, do ryc. 9.



N. 12—24. Ubrania [illegible]acerowe i wizytowe.

N. 14. Suknia princesse wycięta kwadratowo.

N. 12. Ubranie małej dziewczynki.

N. 13. Ubranie dla panienki.

N. 15. Sukni[illegible] muślinowa z bluzką

N. 16. Suknia princesse z odwiniętym z boków trenem.

N. 17. Suknia z długim stanikiem i tuniką. Patrz ryc. 18.

N. 19. Suknia z bretelkowem przybraniem.

N. 18. Sukn[illegible] długim stanikiem i tuniką. Patrz ry[illegible]. Krój na arkuszu N. IX Fig. 33.

N. 20. Suknia z faille i strojne okrycie.

N. 21. Suknia z mantylą. Krój mantyli na arkuszu N. III, Fig. 15—16-a.

N. 22. Suknia princesse z fałdowanym brytem przednim.

N. 23. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem.

N. 24. Ubranie wizytowe z paletotem aksamitnym.

N. 19. Suknia princesse z bretelkowem przybraniem.

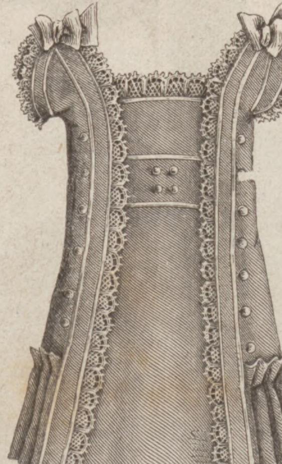
Wykończona z czarnej jedwabnej grenadyny jest bardzo szeroko garnirowana falbankami lub koronką, którą można naszyć dżetem lub stalkami clair de lune. Po nad garnirunkiem i środkiem bretelkowego przybrania naszyta plisa aksamitna, atlasowa lub jedwabna, naszyta perełkami.

N. 20. Suknia z materyi faille i strojne okrycie.

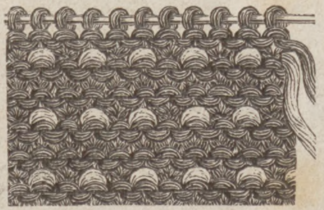
Suknia z wielkim trenem uło-



N. 27. Kołnierzyk szeroko wykładany i krawatka jedwabna z pasem pluszowym.



N. 26. Sukieneczka dla dziecka. Patrz ryc. 41 w N. 44. Krój na ark. N. V Fig. 23—26.

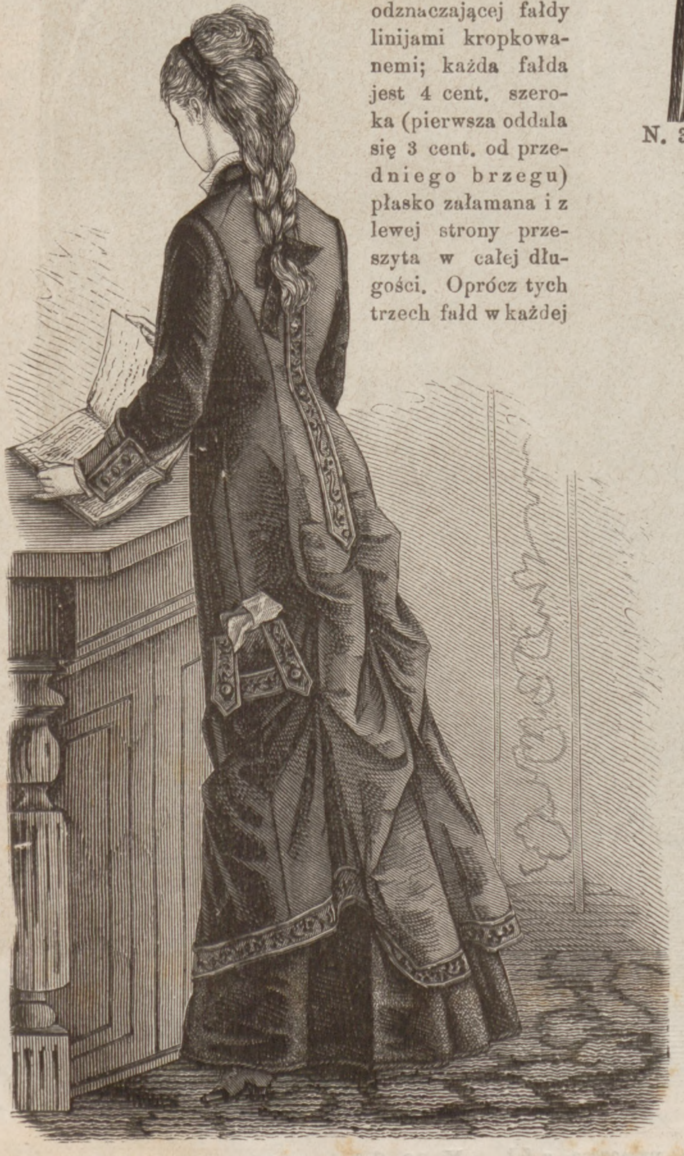


N. 29. Zwierzchnia strona ściegu do ryc. 9.

żonym w kontrafałdę, odszyta z materyi faille srebrno-popielatego koloru; okrycie białe kaszmirowe zdobne naszyciem z szerokich koronek i zakończone bogatą podwójną koronkową riuszą.

N. 21. Ubranie z mantylą. Krój mantyli na arkuszu N. III, Fig. 15—16-a.

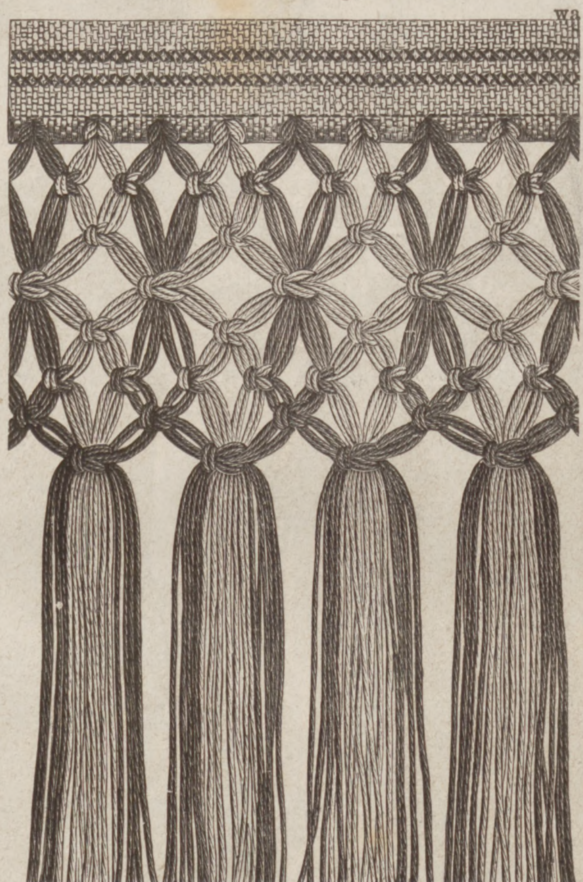
Mantyla taka z tyłu mająca formę krótkiej pelerynki, z przodu spadająca w końcach szalowych, może stanowić dopełnienie ubrania i w takim razie jest z tego co suknia materyału, albo służyć jako *sortie de bal* z kolorowego lub białego kaszmiru. Kołnierzyk przy modelu ryc. 21 może być z materyi lub koronki płasko plisowanej. Fig. 15 daje formę mantyli przed złożeniem fałd, które układa się podług fig. 15-a odznaczającej fałdy linijami kropkowanemi; każda fałda jest 4 cent. szeroka (pierwsza oddala się 3 cent. od przedniego brzegu) płasko załamana i z lewej strony przeszyta w całej długości. Oprócz tych trzech fałd w każdej połowie przodu założona jest czwarta od dolnego brzegu na 30 cent. wzdłuż, równa w całej długości, odznaczona na Fig. 15.



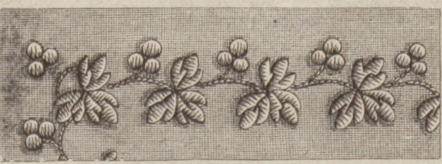
N. 25. Ubranie z vêtement.



N. 35. Koszula dla chłopca lat 13—16. Krój na arkuszu N. IV Fig. 17—22.



N. 32. Frendzla wiązana do ryc. 32 w N-rze 44.



N. 33. Szlaczek do ryc. 19 w N-rze 44.



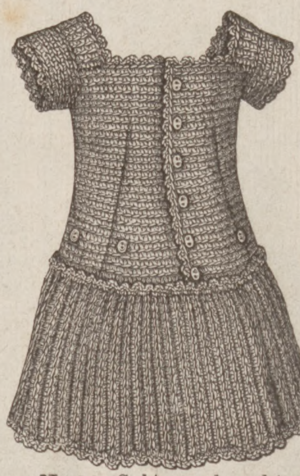
N. 34. Chusteczka krepowa wyszyta perełkami.

N. 22. Suknia princesse z fałdowanym przodem.

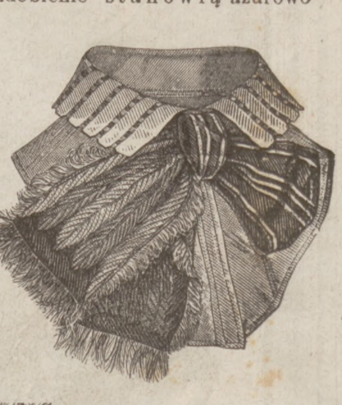
Pod przód złożony w fałdy (nie dochodzące do góry na długość baskiny) potrzeba dać sztywny muślin, na którym każda fałda jest przyfastrygowana. Przybranie naszyte podług ryc. 22, stanowią koronki, galon, plisowanie, riusze lub t. p.

N. 23. Suknia z vêtement z tyłu zapinanem.

Odpowiednia na mniejsze wieczory, wykończona jest z niebieskiego batystu, podług którejkolwiek z form vêtement jakie podaliśmy w ciągu roku. Przyozdobienie stanowią ażurowo



N. 30. Sukieneczka włóczkowa robiona szydełkiem. Patrz ryc. 31.



N. 28. Kołnierzyk wykładany i krawatka.



N. 31. Ścieg szydełkowy i ząbki brzeżne do ryc. 30.

wszywane wstawki 5 cent. szerokie wywodzone na tiulu, z koronki irlandzkiej lub robionej ręcznie. Plisowanie u dołu vêtement składane jest drobniutko, na sukni zaś w fałdy trzy cent. szerokie. Rękawiczki białe wyszyte niebieskim jedwabiem.


N. 24. Ubranie wizytowe z paletotem aksamitnym.

Suknia i długie z boku podpięte vêtement jest z ciemnej materyi faille. Na spódnicy naszyte są proste długo wycinane zęby aksamitne; takież zęby wycinane u dołu vêtement. Paletot aksamitny weinany z tyłu zapięty szmuklerskiemi guzikami u dołu zdobny bogatą frendzlą. Kapelusz aksamitny z bufowaną główką, z rondkiem przysłoniętem riuszą z piór, zdobny z wierzchu przypiętem strusiem piórem z długo spuszczoną plerezą i dwoma mniejszemi piórkami do przodu.

(*dok. nast.*)



N. 36. Suknia princesse z draperyą.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 44 i 45.

N. I. Suknia wycięta z tyłu zapinana, formą princesse, ryc. 3 i 4 w N. 45 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości stanika 45, w pasie 31 cent.

Fig. 1. Połowa środkowej części przodu (A). ⨯ ⨯ ⨯ ⨯
Fig. 2. Druga część przodu (A, B, E, F). ▬ • ▬ •
Fig. 3. Boczek (B, C,). ～～～
Fig. 4. Pierwsza część pleców (C, D, E, F,) ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 5. Druga część pleców (D). × • × • × • ×
Fig. 6. Rękaw (B, :). o o o o o o
Fig. 1-a—6-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części formy do ryc. 3—4.

N. II. Płaszczyk podróżny z pelerynką lub kołnierzem, ryc. 42—43 w N. 44.

Fig. 7. Przód (G, I, K, L, *). - —— - —— -
Fig. 8. Boczek (G, H, +). — * — * — *
Fig. 9. Plecy (H, I, K, :). ▬ • ▬ • ▬ • ▬
Fig. 10. Rękaw (L, M, N, O).
Fig. 11. Połowa kapturkowego kołnierza (: , *).
Fig. 12. Połowa paska do wykroju szyi (: , *). ▬ • ▬ •
Fig. 13. Połowa kieszeni (+).
Fig. 7-a—13-a. Zmniejszony rysunek formy do ryc. 42—43 w N. 44 Tygodnika.
Fig. 14. Zmniejszony rysunek i miary pelerynki do płaszczyka ryc. 42, którą przykroić można podług Fig. 15.

N. III. Mantylka, ryc. 21 w N. 43 Tygodnika.

Fig. 15. Połowa mantylki z oznaczonemi punkcikami wykrojem szyi do peleryny do ryc. 42 (P, Q, R, S, ╳, 1 . 1, jedno załamanie formy.
Fig. 16. Połowa kołnierza (R, S).
Fig. 15-a—16-a. Zmniejszony rysunek mantylki ryc. 21.

N. IV. Koszulka dzienna dla chłopca lat 13—15. Ryc. 25 w N. 45.

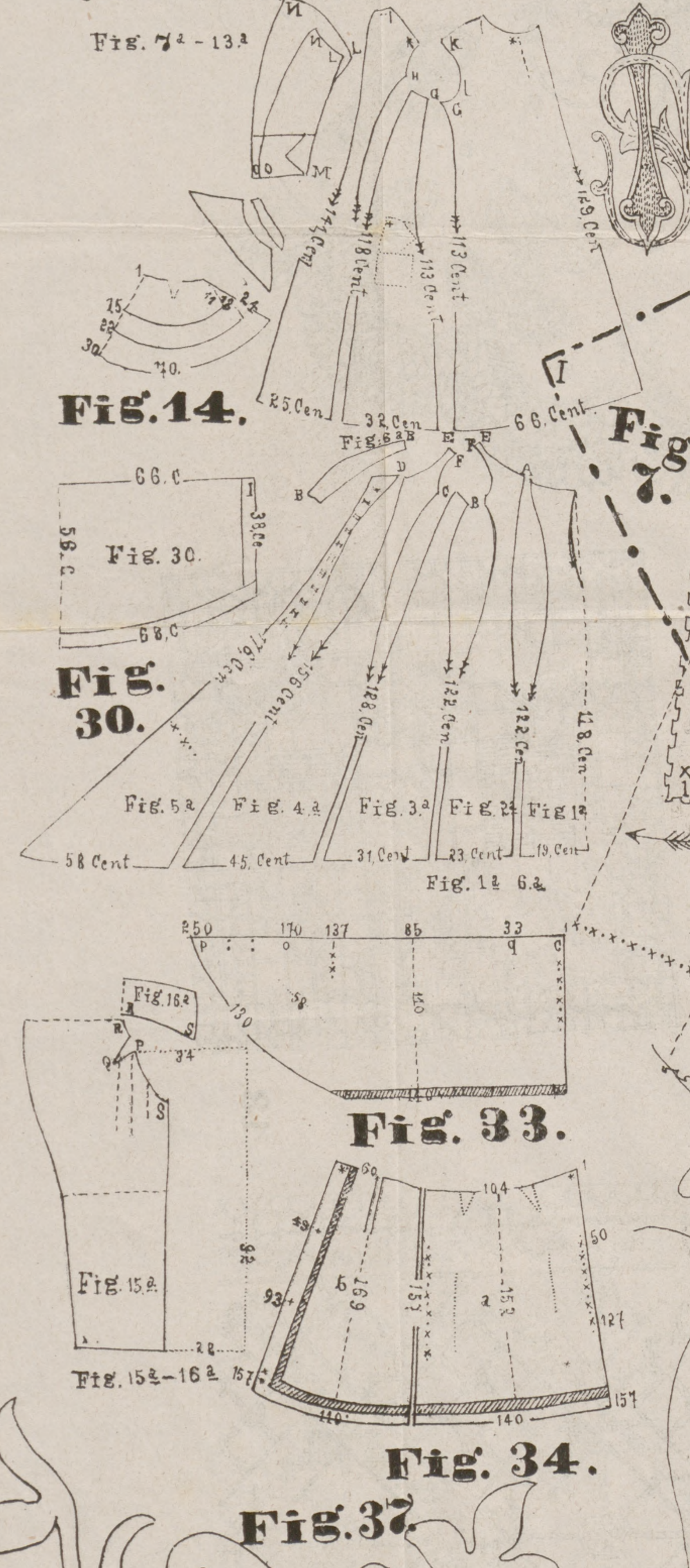
Fig. 17. Połowa przodu z odznaczeniem zaokrąglonego gorsu (T, W, X, Z, *, :╳ 2 . 2, jedno załamanie formy).
Fig. 18. Połowa pleców (T, U, V, +).
Fig. 19. Połowa karczka (U, V, W, X, Y). + + + + +
Fig. 20. Połowa kołnierza (Y, Z). = × = × = × = × = ×
Fig. 21. Połowa rękawa (T, .). * * * * *
Fig. 22. Połowa mankieta (.). × — × — × — ×

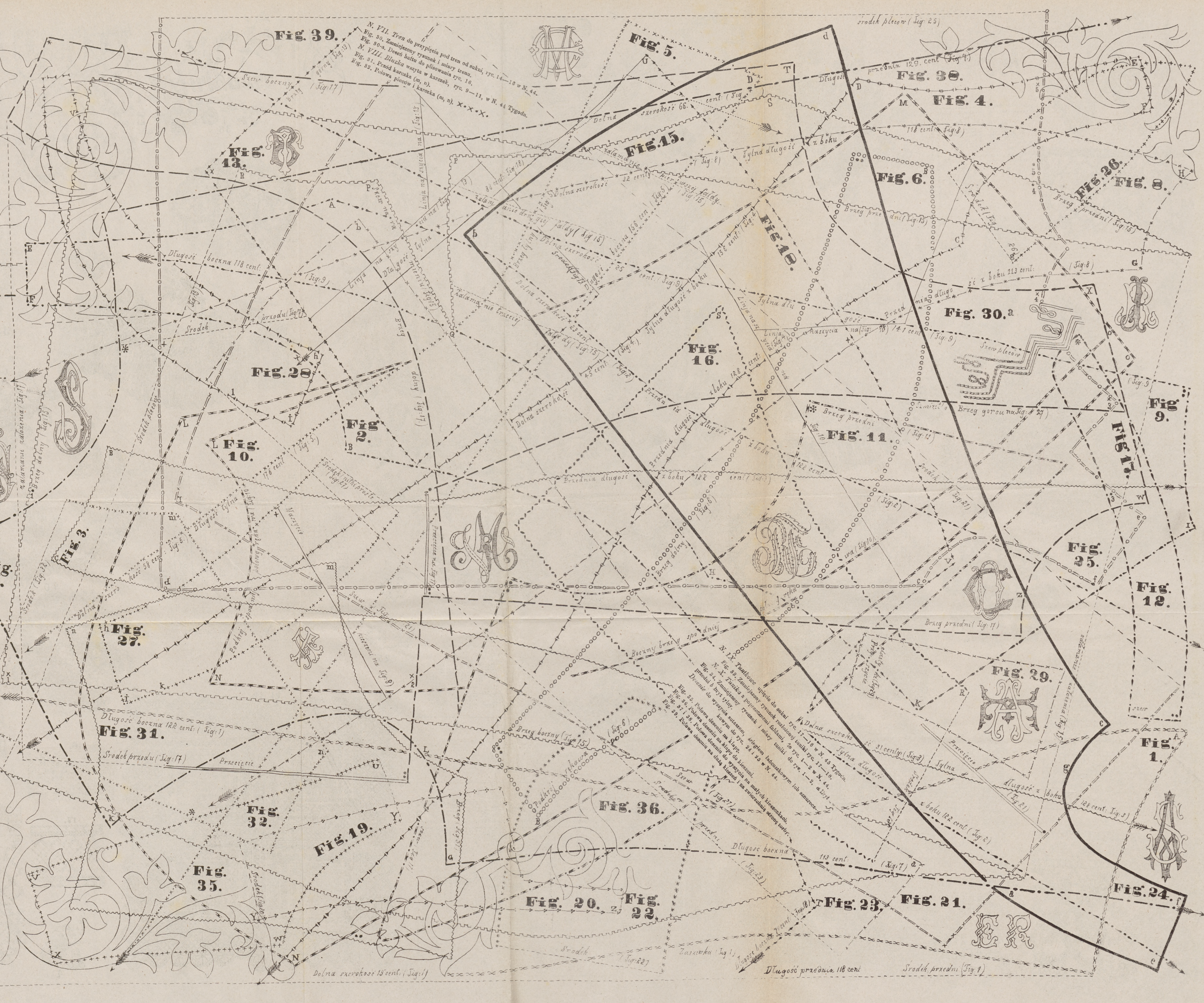
N. V. Sukienka dla dzieci 1—2 lat. Ryc. 41 w N. 44 i ryc. 26 w N. 45 Tygodnika.

Fig. 23. Połowa środkowej części przodu (a, b). ▬▬▬▬
Fig. 24. Druga część przodu (a, b, c, d, e, f, g). o = o = o = o
Fig. 25. Połowa pleców (c, d, e, f, ╳, 3 . 3 do ╳ 5 . 5). • + • + • + •
Fig. 26. Połowa rękawa (g, *). × • × • × • × •

N. VI. Pas do przytrzymania pończoch, ryc. 13 w N. 44.

Fig. 27. Połowa przedniej części pasa (h, i, k). ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 28. Tylna część pasa (h, i, l). — × — × — ×
Fig. 29. Kawałek boczny (k, l). ～～～





N. VII. Tren do przypięcia pod tren od sukni, ryc. 14—16 w N. 44.
Fig. 30. Zmniejszony rysunek i miary trenu.
Fig. 30-a. Deseń haftu do plisowania ryc. 16.

N. VIII. Bluzka wszyta w karczek, ryc. 9—11, w N. 44 Tygodn.
Fig. 31. Przód karczka (m, n).
Fig. 32. Połowa pleców i karczka (m, n). × • × • ×.

N. IX. Tiulowe upięcie do sukni ryc. 17—18 w N. 45 Tygodn.
Fig. 33. Zmniejszony rysunek rozłożonej tuniki ryc. 17—18.

N. X. Tunika z poprzecznemi fałdami, do ryc. 1—2 w N. 44.
Fig. 34. Zmniejszony rysunek i miary tuniki do ryc. 1—2. a Bryt przedni b bryt tylny.
Desenie do wyszycia sutaszem, ściegiem łańcuszkowym lub sznurecz-kowym do ryc. 24 i 25 w N. 44.
Fig. 35. Połowa deseniu na klapę.
Fig. 36. Połowa deseniu na klapę do kieszeni.
Fig. 37 i 38. Połowa deseniu do wyszycia na małych kieszonkach.
Fig. 39. Połowa deseniu na dużą kieszeń i na zwierzchnią stronę torby.